

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na monotematyczny zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem. Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne. Często też stanowi on bazę źródłową dla studentów piszących prace magisterskie z zakresu historii.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej pod red. Janusza Przewłockiego przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy polską historiografię o ważne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. W dziale tym publikujemy relacje XIX-wiecznych zesłańców, a także współcześnie żyjących, którzy w okresie ostatniej wojny przebywali w sowieckiej niewoli. Zwracamy się więc do Czytelników o przesyłanie swoich zesłańczych relacji.

Tym razem dział „Relacje...” zawiera opisy Kazachstanu pochodzące z XIX oraz XX wieku. Mamy nadzieję, że zainteresują one Czytelników, zwłaszcza tych którzy byli na zesłaniu w Kazachstanie. (red.)

\*

### **Adam Suzin – *Wycieczka w stepy kirgiskie***

Adam Suzin urodził się w 1800 roku z powiecie Kobryń (dzisiejsza Białoruś). Biografowie jako miejsce jego urodzenia podają Zaleszany lub Kulinowszczyznę w tymże powiecie. Rodzina jego legitymowała się szlacheństwem, a dom rodzinny prowadzony był zgodnie z przynależnymi rodom szlacheckim atencjami do kształcenia dzieci i wychowywania ich w duchu patriotycznym. Mając 19 lat A. Suzin rozpoczął studia na Wydziale Fizyczno-Matematycznym (1819) Uniwersytetu Wileńskiego. Tam związał się z młodzieżą filarecką i podobnie jak inni z tego kręgu został aresztowany. Zesłano go do twierdzy Kizyl niedaleko Orenburga. Na zesłaniu spotkał się z Tomaszem Zanem i obaj prowadzili badania przyrodnicze Kraju Orenburskiego.

W 1834 roku odbył podróż na teren Kazachstanu i poczynił interesujące obserwacje dotyczące życia i historii Kazachów. W roku 1837 został zwolniony z zesłania, przez jakiś czas przebywał w Petersburgu, potem w Kijowie. Ostatnie pięć lat życia spędził w Warszawie, gdzie zmarł w 1879 roku.

Publikowana poniżej relacja to wielowątkowy obraz życia Kazachów, stanowiący dzisiaj ważne źródło do rekonstrukcji katalogu faktów kulturowych tego stepowego narodu, wielowiekowego dziedzica przestrzeni kazachskich stepów. Współcześni uczeni kazachscy są zdania, iż opisy A. Suzina to ważny dokument pozwalający na spojrzenie wstecz uświadamiające wielorakość kultury kazachskiej w czasach mnionych.<sup>1</sup>



Przewóz przez Ural zatrzymał mię dość długo, nędzne konie baszkirskie ledwie co nie uwięzły w błocie i całą drogę wiorst 26, aż do Dołgownego wlokły się powoli kulejąc, tak że już dość późno w nocy stanąłem na noclegu. Znalazła się izba osobna i czysta dla przejeżdżających, gospodarze z samowarem i ze wszelką usługą gotowi, przez generała Struków umyślnie na ten cel osadzeni. Mimo to zasnąć prawie całą noc nie mogłem, bo bolała mnie głowa od całodziennego trudu. Nazajutrz dość jeszcze rano przybyłem do Ileckiej Zaszczyty, gdzie na prośbę F. chciałem się u nich zatrzymać na kwaterze, ale wkrótce pomiarkowałem, że tam ani jednej minuty nie miałbym spokojnej, tak dla szczupłości mieszkania, jak też dla ustawicznych kłopotów obowiązkowych gospodarza, który oprócz tego mieszkania był złośliwy i niewiele przyjemności ze swego towarzystwa obiecywał. Prosiłem tedy i otrzymałem inną kwaterę osobną, u niejakiego Rybakowa, gdzie także nie miałem zupełnej spokojności, gdyż przeze drzwi u gospodarza, który jak mi powiadano dobrze pije. Odbywały się długo w noc szumne biesiady, oprócz tego ogromny w kącie stojący zegar głośnym swoim ruchem i mocnym a przedłużonym wybijaniem godzin, ustawicznie drażnił moje nerwy i tak już rozkołysane i do bezsenności usposobione.

Od kozackiego oficera Piotrowa, który, jak mię zaręczali, ma być najlepiej wszystkich stepowych rzeczy świadomy, dowiedziałem się, że sułtan Baj-Muchamed koczuje o 50 wiorst od Burannego Forpostu odległego od Zaszczyty wiorst 40. Tenże Piotrow oświadczył chęć jechania ze mną do sułtana, musiał tylko pierwszej dla niektórych interesów być w Orenburgu skąd niezawodnie nazajutrz powrócić przykazał. Nie chcąc opuścić tak dobrej zręczności postanowiłem parę dni zabawić w Ilecku, zwłaszcza, że kilkudniową bezsennością osłabione siły, niejakiego wytchnienia wymagały. Zwiedziłem kopalnie soli i alabastru, przypatrzyłem się w pierwszych machinie do dźwigania wody, której dalej w głąb posuwać się nie pozwala, dla osuszenia wszakże jedna machina nie jest dostateczna, gdyż pomimo ciągłego działania pompy, woda była przeszło na sążeń głęboka. Chodziłem też po bulwarach w około obszernego stawu i po wyszającej nad wodą altanie. Wszystko dosyć ładne, wszakże Ilecka Zaszczyta w ogólności przykre mi zostawiła wrażenie, wszystkie dni mojego w niej pobytu męczony byłem bezsennością i nie miałem nawet ochoty wchodzić w szczegóły robót odbywanych w kopalniach, ani zwiedzać okolic, odkładając to do powrotu ze stepów.

Nie doczekawszy się Piotrowa pierwszego czerwca wyruszyłem w dalszą drogę po nowoileckiej linii sam jeden. Od F. dostałem nieco bibuły do zasuszania kwiatów, gdyż wyjeżdżając z Orenburga dla wielu kłopotów nie miałem

<sup>1</sup> W. T. Słabczyński, *Słownik podróżników polskich*, Warszawa 1992, s. 299-300; A. Kijas, *Polacy w Rosji od XVII wieku do 1917 roku. Słownik biograficzny*, Warszawa – Poznań 2000, s. 340; W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy w Imperium Rosyjskim w pierwszej połowie XIX wieku. Słownik biograficzny*, Warszawa 1998, s. 584-586.

czasu o tym pomyśleć. Przed wieczorem stanąłem w Burannym, gdzie przemocowawszy dość niewygodnie, nazajutrz dnia, drugiego czerwca, wyprawilem się w stepy konno z eskortą sześciu kozaków. Pod rzeczy dano mi telegę, za godzinę stanęliśmy nad Ileckiem, którego malownicze wybrzeża bogate są w bujne łąki, i tu i ówdzie pięknymi drzewami porośłe, przeprawa zajęła nieco czasu, gdyż konie trzeba było wykładać i osobno wplaw przez rzekę przepędzać a rzeczy i ludzi na maleńkim i dziurawym czółenku częściami przewozić. Bok bolał i kaszel męczył mię niezmiernie. Zostawało jeszcze do przejechania niemała przestrzeń, było to prawie nad moje siły, ciągłą bezsennością od mojego wyjazdu z Orenburga nadzwyczaj osłabione. Za tym wszystkim wracać było niepodobna i nie było po co. Kilkoletnie doświadczenie przekonało mię bowiem, iż w Orenburgu można stracić, lecz nie odzyskać zdrowie. Kumys i stepowe życie zdawały się jedynym środkiem, którego chciałem koniecznie spróbować. Zresztą jeżeli już przyszła pora umierać to wolałem zakończyć to pełne męki życie w stepach, na łonie czystej natury, opodal od tych półcywilizowanych ludzi, z którymi obcowanie dla prostego (człowieka) i otwartego charakteru, tak trudne i przykre. Wsiadłem na konia i wśród przyśpiewów i baraszkowań kozackich puściłem się w dalszą drogę ku kurhanowi wznoszącemu się wśród równych i mało co falowatych stepów. Kurhan ten okrągłego kształtu i rowem trawą porośłym otoczony, widocznie był dziełem ręki ludzkiej. Kozacy nic więcej o nim powiedzieć nie umieli, jak że podobnych kurhanów w stepach wiele, i że to muszą być ślady koczowisk w tych miejscach bogatych Kirgizów. We dwie może we trzy godziny wjechaliśmy do kirgiskiego aułu, gdzie po raz pierwszy w tym roku napiłem się kirgiskiego kumysu, i zdało mi się, żem się trochę na siłach pokrzepił.

Kozacy nie znając sami drogi do sułtana Baj-Muchameda wzięli Kirgiza przewodnika i mimo zapewnień tego ostatniego, iż do sułtańskiego aułu było nie więcej nad 25 wiorst, jechaliśmy ku zachodowi aż do samego wieczora stepami, naprzód nie różniącymi się niczym od orenburskich, a potem pomiędzy białymi wapiennymi wzgórzami. Przewodnik sam dobrze nie wiedział o miejscu do któregośmy dążyli, trzeba było z aułu do aułu dopytywać się i tym sposobem droga nasza dość nudnie się ciągnęła. Kirgiskie auły nic szczególnego nie przedstawiały. Wszędzie także same szerokie i ogorzałe twarze, także brudne i po większej części odrażające niewiasty. Od samego rana nic nie jadłem, nie chciałem wziąć się do sucharów, aby do reszty nie popsuć żołądka, wolałem prosić o kumys; ale już to nie byli znajomi kozakom Kirgizi, i wszędzie była jedna odpowiedź: *kumys dzok*. Wszakże pasące się dokoła stada koni przekonywały o jej fałszu. To mi dało naturalnie złe wyobrażenie o chwalonej kirgizkiej gościnności dla podróżnych. Być może, iż całą tę niegrzeczność przyczyną byli zbrojni w długie piki Kozacy, na których Kirgizi z ukosa i z niedowierzaniem spoglądali.

Pod wieczór ukazało się w znacznej odległości, w różnych stronach kilka aułów, nie widzieliśmy, w którym sułtan przebywał, tymczasem konie były zmęczone i słońce miało się ku zachodowi, gdybyśmy się omylili, naówczas trzeba by nocować w stepie; posuwaliśmy się noga za nogą, nie wiedząc w którą kierować się stronę, gdy na koniec w jednym z aułów, dało się rozpoznać kilka białych namiotów. Kozacy wnieśli, iż one powinny należeć do oficerów kozackiego oddziału znajdującego się przy sułtanie. Przyspieszyliśmy więc kroku i po półgodzinnej

jeździe stanęliśmy nad rzeką Utwą, którą przebywszy w bród, ujrzelśmy się niebawem pośród rozrzuconych kibitek; z prawej strony z niewielkiej odległości w półkole uszykowane były wozy i *bałaguny* uralskich kozaków.

Sułtana Baj Muchameda spotkaliśmy jadącego konno w towarzystwie sułtana Machmuda, krewnego i bliskiego powiernika i kilku innych starszych Kirgizów. Przywitał się ze mną siedząc na koniu, później zwrócił się do Kozaków i każdego prawie nazywał po imieniu wypytując się o różne szczegóły ich domowego życia i zdawał się szczególnie być zadowolony tonem uszanowania z jakim jemu odpowiadali.

Baj-Muchamed był dość słusznego wzrostu, tuszy znacznej, twarz miał dość przystojną i mało ogorzałą, nos niemały i niepłaski; był on w chałacie z cienkiego błękitnego sukna; ogoloną głowę przykrywała mu zwyczajna tatarska jedwabna mycka i z wierzchu mała okrągła z siwych baranów czapeczka; na nogach miał meszty z zielonego safianu i trzewiki tatarskie takiegoż koloru. Zszedł z konia i uściśnął powtórnie moją rękę, powiódł mnie do swojej kibitki. Postawiono dwa składane stołki, usiadł na jednym i posadził mnie obok siebie; sułtan Machmud i inni przytomni Kirgizi zasiedli swoim zwyczajem wokoło kibitki na rozesłanych dywanach, tworząc półkole. Kibitka sułtańska niczym się nie różni od kibitek innych Kirgizów dobrze już nam od lat dziesięciu znajomych, chyba tym tylko, że daleko większa i białymi koszmami pokryta; naprzeciw drzwi przy ścianie były ułożone jedne na drugich kufry, paki, skórzane materace i poduszki; z prawej strony za perkalową firanką, siedziały kobiety, zapewne sułtańska żona z córkami, które kiedy niekiedy ukazując czarne ciekawe oczy spoza zasłony dawały wiedzieć o swojej obecności.

Oświadczyłem sułtanowi, że przysłany byłem do jego aulów w interesie, o którym nazajutrz po wypocznieniu z przykrej i niezwykłej dla mnie podróży chciałem z nim pomówić; co do siebie rad byłem ze zdarzenia, które pozwalało mi poznać się z jego sułtańską mością, pobycić czas jakiś w jego aule i pić kumys, który doktorzy jako jedyne lekarstwo dla poprawienia słabego mojego zdrowia pić zalecali.

– A czy też wymienili doktorzy – zapytał – jakie są przy kumysie najlepsze pokarmy?

– Podług nich baranina ma być najzdrowsza.

– Dobrze, ale jaka baranina?

Przyznałem się, że szczególnie nie rozpytywałem się o tym, zdaje mi się jednak, że młody kurguszek najlepiej powinien by przypadać dla słabego żołądka.

– Otóż to właśnie, my o tym lepiej wiemy od doktorów, do kumysu jednak raptem brać się nie należy; przywykając po trochu, to potem i bardzo wiele wypijać go można, inaczej kumys może zaszkodzić, dlatego ja wam w pierwszych dniach wiele pić nie radzę.

Tymczasem już od kwadransa *telengut* (służący sułtański) przelewał sporą drewnianą łyżką biały nektar w ogromnej skórzanej misie dla nadania mu tym sposobem lepszego smaku i uczynienia godniejszym ust Jego sułtańskiej mości i szanownych gości. W tem na skinienie gospodarza, nalano dwie szklanki i podano je na tacy, nie chciałem być pierwszy i sułtan zdawał się być content z tej mojej dla niego atencji. Wychyliłem szklankę od razu. Kumys dobrze przygotowany i smaczny sam z siebie, jeszcze mi się smaczniejszy wydał po ca-

łodziennym poście. Wkrótce odprowadzono mnie do osobnej kibitki, którą mi za kwaterę wyznaczono. Byłem zmęczony i potrzebowałem wypoczynku, rzuciłem się na rozesłany materac w nadziei, że po takich trudach będę mógł zasnąć, ale zaledwo upłynęło pół godziny, sułtan przysłał prosić na herbatę. Nie wypadało odmówić, poszedłem i zastałem jeszcze większe grono do koła usadowione. Dla mnie był przygotowany stołek, samowar szumiał na środku kibitki. Kilku *telengutów* uwijało się dokoła niego. Wszyscy milczeli, sułtan rozpoczął ze mną rozmowę. Od, zapytał: Jak dawno z Orenburga? Co tam słyhać nowego? Czy zdrów Gregory Fiedorowicz? Czy prawda, że wojenny gubernator zamierza także leczyć się kumysem? Jak długo zamierzasz pobyc pomiędzy nami? U nas kumysu i baraniny nie zabraknie, bylebyś do naszego życia przywyknął. Przed trzema laty żył u nas jeden z waszych, tak był chory, że głowy prosto trzymać nie mógł i zaledwie trzymał się na nogach, a wyjechał zdrów zupełnie. Podano herbatę i sułtan ubolewać zaczął nad śmiercią hrabiego Suchtelena, przez którą wiele utracił. Tego doktora co go nie wyleczył, ja bym oddał pod sąd. Teraz moje zasługi za nic są miane; dotąd żadnej nie otrzymałem nagrody, lubo jestem pewny, że żaden z rządców nie wypełnia tak akuratnie rządowych poleceń. W przeciągu dwóch lat ostatnich posłałem do pogranicznej komisji na zaspokojenie różnych pretensji, kilka tysięcy rubli pieniędzmi, 1500 baranów i kilkaset wielbłądów. Czy też pograniczna komisja doniosła o tym wojennemu gubernatorowi? Upewniłem jego sułtańską mość, że pograniczna komisja o wszystkim koniecznie gubernatora uświadomić musi; że wątpić nie można, iżby jego zasługi bez nagrody długo pozostały, że wojenny gubernator niedawno do tego kraju przybył i nie mógł w tak krótkim czasie dostatecznie rozpoznać tak licznych i tak różnorodnych interesów, i że bez wątpienia niebawem i na kirgizkie sprawy zwróci swoją uwagę.

Tymczasem powtórnie poczęto roznosić herbatę, nie wziąłem drugiej szklanki wymawiając się tym, że mnie herbata szkodzi.

– Dobrze robisz, że wiele herbaty nie pijasz, nawet zupełnie powinienes jej zaniechać, jeżeli chcesz aby kumys był pomocny.

Odpowiedziałem – iż takie właśnie było moje postanowienie, że główny cel mojego pobytu w stepach, jest poprawienie zdrowia i dlatego chcę iść w tej mierze za radą jego sułtańskiej mości.

– Czy umiesz zdejmować portrety – zapytał mnie znowu po jakimś czasie.

– Nie – odpowiedziałem, zgoła nie znam rysunków.

– To szkoda, warto by, gdybyś zdjął teraz swój portret, po dwóch tygodniach spojrzawszy w zwierciadło nie poznałbyś sam siebie, teraz twoja twarz zupełnie do ziemi podobna, potem się wypelni i ozdobi rumieńcem.

– Dałby Bóg, aby się spełniło przepowiedzenie waszej sułtańskiej mości, gdybym był tyle szczęśliwy i odzyskał zdrowie, wiecznie bym miał w pamięci pobyt mój w stepach i gospodarza, którego doznawałem gościnności.

Poczęły się zwykle między Kirgizami zabawy. Nic nie rozumiałem z ich mowy, rozmyślałem nad sposobami wyuczenia się choć w części ich języka, przez co pobyt mój w stepach byłby daleko korzystniejszy. Teraz musiałem być tylko niemym świadkiem ich rozmów, z których zapewne najlepsze by można powiedzieć wyobrażenie o ich pojęciach i charakterze. Sułtan Baj-Muchamed mówi po rosyjsku niezłe, nie może się jednak we wszystkich przedmiotach z łatwością wytłumaczyć, ani też wszystkiego zrozumieć i często do tłumacza uciekać się musi.

Lubo uprzejmie zaproszony na wieczerzę, pożegnałem atoli dostojną kompanię, gdyż gwałtem potrzebowałem wypoczynku. Wszakże całą noc zasnąć nie mogłem już to dla rozdrażnionych dziennymi przygodami nerwów, już to dla nieznośnych i bezprzeznacznych ukąszeń, których nie pojmowałem przyczyny, gdyż mnie upewniano, iż na tym miejscu pcheł wcale nie było, co dla obficie rosnącego piołunu zdawało się podobnym do prawdy. Za nadejściem dnia postrzegłem, iż byłem łupem mnóstwa maleńkich białych żyjatek, od których co najprędzej, przez wymycie się i odmianę bielizny, starałem się oswobodzić. Przypomniałem sobie przed ostatni nocleg w Burannym forpoście, gdzie wokoło łóżka, na którym noc spędziłem było mnóstwo jakiś kozuchów nie donoszonych i betów różnego rodzaju, co dostatecznie wytłumaczyć mogło prześladowających mnie owadów.

Wieczorem sułtan częstował przybyłego do niego w gościnę jednego ze znakomitszych Kirgizów sułtana Irtena Karatajewa. Główny gość zasiadł na pierwszym miejscu po prawej stronie Baj-Muchameda, mnie posadzono po lewej. Inni Kirgizi zasiedli po obu stronach w półkole. Wszystkich było do czterdziestu, taki bowiem u Kirgizów obyczaj, że nikomu do kibitki wstępu zabronić nie można; proszeni więc i nie proszeni wchodzili tłumnie, witali się z sułtanem, podchodząc do niego z uszanowaniem i ściskając go za ręce sadowili się podług znaczenia swojego na odpowiednich miejscach. Poczęto roznosić kumys w sporych misach; gospodarz i główny gość wypiwszy po jednej porcji, podane sobie po wtóre z kumysem porcelanowe miski, oddawali upodobańszym gościom, którzy za danym znakiem zbliżali się z uszanowaniem, na klęczkach, przyjmowali naczynia, odstępowali o krok nazad, przysiadali znowu i wychyliwszy biały trunek szli napelnić nim znowu podaną sobie miskę, którą odnosili na powrót temu, z czyich rąk byli przyjęli. Tym sposobem gospodarz z sułtanem Irtenem uraczyli gości, aż póki nie podano herbaty, którą na ogromnej tacy w filizankach, zupełnie po naszymu roznoszono. Tymczasem ciągle trwała między nimi ożywiona rozmowa, której z goła nie rozumiałem. Sułtan, kiedy niekiedy odzywał się do mnie z grzecznym słówkiem, zachęcał do picia kumysu, traktował herbatą. Po herbacie przynoszono po kolei każdemu miednicę i wodę w osobnym naczyniu do mycia rąk, później rozesłano wzdłuż siedzących podłużne kolorowe obrusy i podano w sporych drewnianych talerzach porzniętą w kawały baraninę, którą każdy krajał własnym nożykiem na drobniejsze kawałki, potem kładł go rękami do ust, oblizując kiedy niekiedy palce. Gospodarz i znakomitsi goście przyzywali czasami mniej dostojnych i z daleka siedzących, którym się osobne talerze nie dostały i kładli im palcami do ust po kilka kawałków razem. Jest to znak szczególniejszej względności ze strony traktującego, którą każdy z uszanowaniem i wdzięcznością przyjmuje. Sułtan podawał mi kiedy niekiedy lepsze kąski i zachęcał do jedzenia. Nie dałem się długo prosić, gdyż porządnie byłem wygłodzony i za przykładem kompanii, zajądałem się z apetytem, używając rąk zamiast widelca, smakowitą baraniną i mimowolnie przyszło mi na myśl stare nasze przysłowie: „pierwej Pan Bóg stworzył palce nie widelce”.

Gdy się już wszyscy należycie posilili, zdjęto obrusy, podano wodę do umycia rąk i znowu misy z białym napojem gęsto krążyć poczęły. Kumys będąc napojem wielce posilnym, ma oprócz tego moc szczególniejszą, sobie właściwą, i jak sam tego doświadczyłem, dziwnie pomaga do trawienia tłustej baraniny, która inaczej dla słabego żołądka za ciężką i nawet niebezpiecznie szkodliwą być by mogła. Jest to trunek jedyny moich koczujących przyjaciół i zastępuje u nich miejsce gorących napojów, z tą tylko różnicą, iż posiadając dobre ich

przymioty, nie wywiera tych szkodliwych skutków, na jakie przez zbytne używanie tamtych, nasi cywilizowani Europejczycy narażeni bywają.

Następującej nocy spałem nieco lepiej, co zdaje się było dobrym skutkiem kumysu. Wstawszy poszedłem wkoło aułu rozsypanego na niezbyt rozległej równinie, przetrzniętej z południowego wschodu na północny zachód rzeczką Utwą (Czungutrau) i wzgórzami częścią wapiennymi, a częścią gliniasto-piaszczystymi otoczonej. Grunt równiny dość mizerną trawą porosły piaszczysto-wapiennymi, gdzieniegdzie z czarnoziemem zmieszany, wszędzie prawie solą przejęty, która w miejscach, gdzie kałuże powysychały, w drobnitkich kryształkach osiadła bieleje. Na pierwsze wejście myślałem, iż to był kolor wapna, ale przypatrzwszy się lepiej ujrzałem małe przezroczyste kryształki, które miały wyraźny smak soli. Na północ o wiorst kilka sterczał biały jak śnieg podługowaty Turtabasz, a na wzgórzach od południa roznosiły się na mogiłach kirgizkich wzgórki z darni i kredy, zapewne z okolicznych gór przywiezionej. Utwa wąska i powoli płynąca raz tak płytka, iż ledwie do kolan koniowi dochodzi, ma atoli miejsca, w których Kozacy oddziału przy sultanie będącego łowią dość spore sumy, szczupaki, jazie, karasie, okonie, itd.; brzegi po obu stronach dość wysokie piaszczysto-wapienne, zawierają w sobie mnóstwo jednego gatunku muszelek, których nazwy nie wiem. Kwiatów zastałem bardzo niewiele, może z powodu licznych stad różnego rodzaju bydła, które się na tych miejscach już przeszło od tygodnia pasie. Najobficiej rośnie piołun, *euforgia poheutilla astragalus*, *salvia timus* (bogurodskaja trawa), *convolvulus scorzoneria*, *trifolium* i kilka innych gatunków, których nazwiska nie pamiętam lub nie wiem, a które zbieram i staram się w bibule w Ileckiej. Zaszczycie wziętej, nim obiecana przez Tomasza nadejdzie. Bohdanów Tatar powiedział mi, iż mocny odwar z korzeni euforbii w umiarkowanej ilości przyjęty, jest najskuteczniejszym lekarstwem od bólu w boku, jakowego skutku on sam na sobie doświadczył.

Pod wieczór poszedłem nieco dalej w stepy, zerwałem kilka kwiatów i powracałem nazad znużony, gdy idąc mimo jednej kibitki postrzegłem kilka Kirgizek siedzących u drzwi i zajmujących się szyciem. Między nimi była jedna młoda dosyć biała, i gdyby nie płaski nos, wcale nie szpetna dziewczyna, inne stare i skrzywione. *Salaumalejkum! Malejkusalau! Kajda barasiu?* i inne wyrazy, których nie rozumiałem i nie pamiętam, były wyrzeczone przez jedną z nich, która zdawała się gospodynią tej kibitki. Potem na wezwanie: *utur'* usiadłem koło nich i pokazałem moje kwiatki, chcąc im dać do zrozumienia, jaki był cel mojej przechadzki. Między kwiatkami, które trzymałem w moim ręku był jeden z czerwonym korzonkiem, który moja gospodyni schwyciła, odłamała i zaczęła pocierać nim twarz swoją, potem przybliżyła się do mnie i chciała mi zrobić tę samą usługę, ale nie chcąc zostać w stepie elegantem i spodziewając się nabyć od kumysu wkrótce naturalnego rumieńca, usunąłem się wołając: *dżók, dżók, jaman, jaman!* Tymczasem drugie przyglądały się mojemu kamlotowemu surdutowi, białemu kołnierzykowi i młoda dziewczyna już coś wyszyć zieloną, wełnianą nitką na mojej pole; wyjąłem chustkę z kieszeni, a podając jej starałem się dać do zrozumienia, iż wołałbym na chustce mieć znak zielony na pamiątkę od niej, nie wiem czy byłem zrozumiany, wszakże moja nimfa przyjęła chustkę i natychmiast wzięła się do roboty. Przez cały ten czas stara, którą miałem za gospodynię nie przestawała rzucać na mnie czułych spojrzeń, na ostatek, zniecierpliwiona moją nieuwagą, postanowiła wyraźnie okazać swoje uczucia: oczy jej czarne iskrzyły się, pomarsz-

czone policzki poróżowane kosztem mojej rośliny zdawały się w płomieniu i zbliżała się do mnie, aby mię uścisnąć. Byłem w strasznym ambarasie, nie chciałem tej pierwszej znajomości kończyć niegrzecznie, tym czasem nie sposobna mi było odpowiedzieć na tę łaskawość. Na koniec udało mi się powoli usunąć na bok jak gdyby dla przypatrzenia się szyciu młodej Kirgizki. Na moje szczęście już się ono miało ku końcowi i wkrótce odebrałem chustkę z wyszytym zielonym rąbkiem, a inna stara obok mojej szwaczki siedząca, zawołała chrapliwym głosem: *kałacz tanycz*. Obiecałem przynieść kołacza i powiedziawszy: *amambul*, oddaliłem się co prędzej.

W dniu następnym odwiedziłem sułtana Machmuda, który mię już wiele razy do siebie zapraszał, tym razem nie zastałem go w domu, lecz żona jego, już niemłoda, ale dość przystojna z czarnymi iskrzącymi się oczyma, przyjęła mnie nader grzecznie i nad moje spodziewanie, była wielce rozmowna.

– Sułtan Machmud was bardzo lubi, czy on w domu, czy nie, proszę zawsze u nas bywać, wszystko co mamy na wasze zawołanie. Może będziecie pić herbatę, albo jeżeli się podoba każę zarznąć barana?

– Bardzo wam za to wszystko dziękuję, przygotowanie barana wymagałoby wiele zachodu i czasu, a ja tylko na minutę tutaj wstąpiłem, od herbaty uciekłem z miasta i przyjechałem do was aby pić kumys.

Podano tedy natychmiast sporą misę kumysu, kilkoro dzieci uwijało się po kibitce, zrobiłem uwagę, iż pięknych miała synów – To nie moje – rzekła zapłoniwszy się nieco, to są dzieci naszego brata Chau-Sułtana, potem po niejakiem milczeniu przydała:

– Machmud ma także wiele dzieci, ale te rozproszone po stepach i trudno by je do jednego zebrać miejsca. Przy pożegnaniu jeszcze raz oświadczyła się z gotowością na wszystkie usługi, i prosiła, aby bez ceremonii przysłać po wszystko, co mi będzie potrzebne. Z sułtanem Baj-Muchamedem przychodziłem do coraz większej zażyłości. Na drugi dzień po przyjeździe przysłałem mu w podarunku głowę cukru, żalowałem iż nie poszedłem za radą W. i nie przywiozłem rumu, który byłby daleko przyjemniejszy jego sułtańskiej mości, gdyż mimo zakazu Mahometa, postrzegłem, że Kirgizi wielce lubią nasze mocne napoje. Uważałem też, iż go bardzo interesowało moje krzesiwo i natychmiast mu je posłałem. Na drugi dzień jego sułtańska mość wielką miała przyjemność pokazywać gościom swoim, jak za przytknięciem do buteleczki łuczzywka od razu płomieniem się zajmowała. Świece też moje woskowe, które oświecały kibitkę sułtańską, niemało dziwiły szanowne zgromadzenie. Kilka dni następnych upłynęło z małą różnicą, takim że samym sposobem. Też same po okolicznych wzgórzach i nad Czurguntanem przechadzki, i też same wieczorami u sułtana uczyty, często późno w nocy przeciągnięte, gdyż Kirgizi wypawszy się we dnie, radzi całe noce na zabawie przepędzają.

Kobiety nigdy zgromadzeniom tym nie towarzyszą; albo wychodzą do innej kibitki, albo siedzą ukryte za firankami. Wszakże kiedy sułtana nie ma w domu, firanka się zdejmuje i wtenczas się przed przechodniami nie ukrywają. Kilka razy zastałem sułtanową z córkami pijącą herbatę pośrodku kibitki; pierwszy raz myślałem, iż moja obecność będzie je żenować i chciałem się oddalić, ale mnie zwrócono i zaproszono do herbaty. Rad byłem temu, gdyż od dawna miałem chęć przypatrzenia się pięknnością do tej pory ciągle ukrytym. Sułtanowa już w wieku, pełna powagi i mało mówiąca. Na rękę trzymała małego ślicznego synka, który był ciągłym jej pieszczot przedmiotem. Ubiór



jej w niczym się nie różnił od ubioru innych Kirgizek. Płat biały płócienny obwijał jej głowę w kształcie słupka i spadał z tyłu prawie do samej ziemi, okrywając tym sposobem znaczną część siniego jej *sarafanu*. Dwie córki obok niej siedzące młodziutkie i wielce nieszpette, były w kolorowych, jedwabnych chałatach i czerwonymi przepasane paskami. Na głowach miały też kolorowe jedwabne chusteczki, szczególnym sposobem, z pewną niedbałością uwiązane. Podziękowałem za herbatę, której wcale nie pić postanowiłem i poprosiłem o kumys przydając, iż on był teraz moim jedynym i najlepszym napojem. Po jakimś czasie, aby przerwać milczenie, oświadczyłem przez tłumacza (gdyż sułtanowa wcale nie rozumiała po rusku), iż pozostało mi od drogi nieco cytryn, które dla mnie całkiem teraz stały się niepotrzebne, to czy by nie podobało się sułtanowej użyć ich teraz do herbaty.

– Może sami macie niewiele a za powrotem zapewne będziecie potrzebować, rzekła. Odpowiedziałem, iż do mojego powrotu jeszcze zapewne niemało czasu upłynie, że one tak długo trwać nie mogą i że najlepszy z nich będzie użytek, jeżeli mogą służyć jej sułtańskiej mości. Kazałem przynieść słoik z cytrynami i uważałem, że dość smakowały moim stepowym pięknnością, gdyż na nowo krążyć poczęły filiżanki z herbatą, która się pierwej już miała ku końcowi.

Sułtan Baj-Muchamed ma dwie żony, mieszkające w osobnych kibitkach. Z jednej ma pięciu synów i cztery córki, z drugiej tylko dwóch synów i także cztery córki. Pierwsza jest mu upodobańsza nie dla piękności, gdyż i nie młoda i wcale nie piękna, ale zapewne dla dzieci, które są dosyć ładne i do których zdaje się być mocno przywiązany. Drugiej żony nigdy nie odwiedza, przynajmniej od czasu mojego tu pobytu, ani razu to się nie zdarzyło. Ma już wyswataną i trzecią żonę, która się jeszcze przy rodzicach znajduje i którą odwiedza kiedy niekiedy na osobności, i wkrótce ma zupełnie do siebie sprowadzić.

Dnia dziewiątego po przyjeździe poprawiwszy nieco siły, chciałem z przybyłym do sułtana oficerem uralskiego wojska, dla odzyskania długów u niektórych Kirgizów, odwiedzić sąsiednie auły, wzdłuż ponad Czungurtajem rozłożone. Zamierzałem dni kilka na tę wycieczkę obrócić i jużem się wybrał w drogę, gdym się dowiedział od sułtana Machmuda, że nazajutrz auł nasz ma niezawodnie z tego miejsca odkoczować, widziałem się przeto zmuszonym wyrzec się dalekiej wycieczki, gdyż dla nieprzywykłego dla przydługich po nieznanomych stepach podróży, byłoby za trudno doszukiwać się przenoszącego się z miejsca na miejsce aułu, zwłaszcza, że nie wiedziałem, jakich będę miał przewodników i czy w rzeczy samej Andrzej Afanasiewicz, tak jak upewniał, będzie mógł ich dla mnie wynaleźć. Wolałem zatem ograniczyć się tym razem na zwiedzaniu pagórków kredzianych o wiorst sześć odległych. Chciałem jeszcze być na Turtabaszu, na który już od kilku dni z ciekawością spoglądałem, ale jeszcze wiorst najmniej pięć było do niego a już wieczór nadchodził, i zaledwie zostawało tyle czasu, iżby przed nocą do aułu powrócić. Tym bardziej żał mi było, iż nie mogłem z bliska obejrzeć tej góry, że nazajutrz mieliśmy się z tego miejsca oddalić i później zamierzone odwiedziny mogły się stać niepodobne.

Pod wieczór przed zmierzchem wszystkie kibitki były zdjęte, wszystkie ułożone w paki i gotowe do podróży. Już było dość późno, gdy na rozestanych dywanach i *koszmach* liczni goście w wielki okrąg pod gołym, gwiaździstym niebem zasiedli do wieczerzy. Na gościach u Baj-Muchameda nigdy nie zbywa. Każdego prawie dnia z różnych rodów Kirgizi zjeżdżają się już dla okazania uszanowania swojemu rządcy, już z różnymi spornymi sprawami, które sułtan

słownie zwykle podczas wieczerzy, bez żadnych piśmiennych wywodów rozstrzyga. Częstość gości ci przypędzają z sobą w podarek dla sułtana barany i konie, inaczej trzody jego, jakkolwiek liczne, nie mogłyby na uraczenie tak licznych i tak częstych gości wystarczyć.

Wielce smakowitym pokarmem uważa się u Kirgizów młody baranek, ale zdaje się iż nad wszystko przedkładają mięso żrebięcie. Właśnie tego wieczora zarznięto pięknego młodego konika i gdym powróciwszy z przechadzki i usiadł obok sułtana, który ciągle nie przestaje mi czynić największych grzeczności, zapytał mnie, czyli ja mogę jeść koninę? Nie mając żadnego przeciw temu czystemu zwierzęciu uprzedzenia i z kilkokrotnego doświadczenia wiedząc już o jego smakowości, odpowiedziałem jego sułtańskiej mości, że nie tylko jadam, ale nawet lubię koninę, i że gotów jestem natychmiast dowieść mego upodobania do niej. Zapomniałem pierwiej powiedzieć, iż sułtan Baj-Muchamed, jest wielce nabożny, regularnie modli się podług przepisów alkoranu, pięć razy na dzień. Przed każdym jedzeniem, równie i po jedzeniu odmawia się u niego krótką modlitwę, w czasie tej modlitwy wszyscy przytomni trzymają przed oczyma rozłożone ręce jak gdyby na nich czytali, po odmówieniu modlitwy gładzą sobie obiema rękoma twarz i brodę i dopiero wówczas zabierają się do przeznaczonej im strawy. Gdy podano miski z mięsem wszyscy z niezmiernym jedli apetytem; zdaje się, iż Kirgizi wcale nie, albo mało co żują, gdyż po włożeniu do ust pełnej ręki sporych kawałków mięsa, zaraz prawie następuje połknięcie, co może być jedną z przyczyn zdrowości i białości ich zębów, której by mogła pozazdrościć niejedna z europejskich naszych piękności. Chociaż także nie mogę się skarżyć na brak apetytu, nie byłem jednak w stanie dorównać moim stepowym towarzyszom, przed którymi w oka mgnieniu całe znikwały talerze i sułtan zrobił uwagę, że ja nigdy się nie najem, jeżeli tak małymi kawałeczkami i tak powoli jeść będę.

Przypominam sobie, iż stryj mój pan Jan S. opowiadał kiedyś, iż książę Sapięha, przy którego zostawał dworze tak lubił mięso końskie, iż nigdy nie siadał do stołu bez ogromnej, żrebięcej pieczeni, którą na raz sam jeden zjadał. Jakkolwiek sławny był z tego względu apetyt książęcej mości, podług mnie daleko godniejszej uwagi jego smak delikatny, iż umiał ocenić wyborność mięsa, do którego u nas niesłusznie wszyscy wstręt mają, a którego nie używanie początkowo pójść mogło stąd, że u nas nie tak liczne i nie tak obszerne pastwiska, nie pozwalają utrzymywać w wielkiej liczbie tego zwierzęcia, i że przy jego nieodzownej potrzebie do różnych zajęć gospodarskich, niezmiernie by się jego cena podniosła, gdyby równie jak wół używane było na pokarm. Ale tym podobne przyczyny u moich przyjaciół Kirgizów nie mają miejsca; ich niezmiernie stepy pozwalają im hodować i rozmnażać prawie do nieskończoności konie, równie jak barany i innego rodzaju dobytek, i oni nie mają słusznej przyczyny wyrzekać się pokarmu, którego używanie nie naraża ich na żadną stratę, a który smacznym i zdrowym znajdują.

Noc tę trzeba było pod gołym niebem i prawie na bezsenności przepędzić. Chłód, a więcej jeszcze ustawiczny szum od przygotowań do jutrzejszego koczowania, prawie ani na chwilę oka zmrużyć nie pozwoliły.

Dwoma godzinami przed wschodem słońca, gdy tylko co świtać zaczęło, spędzone do jednego miejsca wielbłądy, przerażały swoim żalobliwym krzykiem i na kilkakrotnie powtarzane rozkazy kobiet i sług sułtańskich, zajmujących się ich ładowaniem, głębokie wydając westchnienia, przyklękały dla przy-

jęcia ciężarów na grzbiety swoje. Gdy słońce się ukazało już objuczone wielbłądy gotowe stały do drogi, trzody z wolna postępowaly stronami, każdy siodłał konia dla siebie i zabierał się bez żalu opuścić to miejsce, na którym niewiele dni przepędził, i z którym niczym nie był złączony. Dobrze lub źle pastwisko dla trzody, stanowi najwięcej o dłuższym lub krótszym przebywaniu Kirgiza na jednym miejscu. Chęć zbliżenia do znajomych lub ułatwienia niedokończonych interesów sprawuje, iż się raczej w jedną niż w drugą stronę kieruje. Miejsce naszego koczowiska już zupełnie było opuszczone, pozostały tylko tu i ówdzie okrągłe ślady, na których stały kibitki, tudzież pogaszone ogniska i walające się gdziegdzie porzucone szmaty.

Siadałem sam jeden spoglądając na to opustoszałe miejsce i na ożywione dokoła stopy, którym ukośne wschodzącego słońca promienie nowego przydawały powabu. Rzędy obładowanych wielbłądów posuwały się z wolna jedne za drugimi; obok nich kobiety w różnokolorowym stroju, na koniach, tu i ówdzie grupy jeźdźców przebiegających z miejsca na miejsce, bez celu, tak jak bez celu zdaje się być całe życie Kirgiza; dokoła ciągnące się trzody i rżące i ryczące i beczące, wszystko to rozsypane po stepie jak okiem zajrzeć i ozłocone promieniami podnoszącego się wspaniałe słońca, wcale zajmujący czyniło widok, który się kończył dwusetnym oddziałem uralskich kozaków, długimi nastrożonych pikami i za nimi przydłuższym nieco szeregiem teleg z bagażami. Grzegorz długo mi nie przyprowadzał konia, począłem się obawiać, aby oddalając się coraz ten żyjący obraz nie zniknął na koniec z oczu i samego mnie nie zostawił na stepie. Już zabierałem się dążyć piechotą, niezbyt kontent z tego o mnie zapomnienia, gdy nareszcie przybył Grzegorz z koniem, którego ledwie mu się złowić w tabunie udało. Osiodłanie niewiele zajęło czasu, już leciałem w cwał, by się połączyć z drugimi, kontent z niewielkiego stępaka, powolnego na rozkaz i lekko niosącego, gdy spotykam także w cwał lecącego sułtańskiego sługę, wiodącego na arkanie drugiego konia.

– Sułtan wam przysła swojego upodobanego, wyrzekł, prosi, abyście na nim jechali, ten niech będzie dla waszego służącego.

Lubo nie miałem ochoty rozstawać się z moim stępakiem, nie można było atoli nie przyjąć tej oznaki sułtańskiej przychylności i oprócz tego rad byłem, że mój Grzegorz także nie pójdzie piechotą, gdyż zdawało się niepodobna iżby mu udało się samemu bez arkana, złowić drugiego konia w tabunie. Ranek był szczególnie piękny, jakby umyślnie dla naszej podróży, gdyż wszystkie dni poprzedzające, były wietrzne i dosyć chłodne. Chciało mi się połączyć z pięknościami jadącymi obok wielbłądów, ale uważałem, że wszyscy mężczyźni jechali w znacznej odległości, w osobnych grupach, i bałem się zrobić cokolwiek przeciwko zwyczajowi moich nowych towarzyszy, których zaskarbić przychylności postanowiłem. Jechaliśmy ku południowemu wschodowi, przez wzniesione stopy, godzin ze cztery, nie tracąc z widoku Czungurtaju, na koniec zatrzymaliśmy się na wąskiej zielonej dolinie; rozbito naprędce z płótna namiocik, gdyż słońce dopiekało, a wielbłądy z kibitkami jeszcze nie nadeszły. Nowe to miejsce niczym się prawie nie różniło od pierwszego. Taż sama wzdłuż Czungurtaju, nieco tylko rozleglejsza równina i też same naokoło wzgórza; brzegi rzeki z obu stron urwiste, wyraźnie okazywały gliniastą i wapienną naturę gruntu, który w innych miejscach z czarnoziemem mieszany, zielenią i bujniejszą trawą był pokryty, na wzgórzach zaś grubszy piasek zdarzał się prze-

ważać. W ogólności wegetacja tu bardzo nędzna i nie wiem co mogło skłonić sułtana do zatrzymania się na tym miejscu. Gdy się oto pytał, odpowiedział, iż niedługo tu zostaniemy. Z północno-zachodniej strony widać jeszcze było podługowaty wierzch Turtabaszu, jak brzeżek wyglądającej spoza ziemi chmury, na wschodzie, pomiędzy pomniejszych wzgórków, wyglądał okrągły biały Kizymczyk, ku południowemu wschodowi ciągnęła się nad rzeką podłużna równina. Kwiaty te same, tak że dwa tylko nowe gatunki do mojego zbioru przybyły, a Tomasz bibuły nie przysłał. Wkrótce nadciągnęły wielbłądy i w oka mgnieniu nowe miasto stanęło. Tego dnia, dopiero aż późno w nocy zgotowano baraniny, trzeba było przestać na samym kumysie, choć jeść chciało się porządnie. Zdaje się, iż trzeba przez przywyknienie długie, usposobić żołądek, iżby sam kumys mógł wszelki inny pokarm zastąpić. Nazajutrz u Machmuda byłem na wieczery, częstowano gości obficie kumysem. Począłem zapisywać i uczyć się powoli używanych wyrazów kirgizkich. Zdaje się, iż długiego trzeba by czasu, by się dobrze tego języka wyuczyć.

Sułtan Machmud przystojny, z małą bródką, z orlikowatym nosem, lubi się stroić, od modlitwy ucieka, brząka sobie: tram, tram na gitarze i przyspiewuje: *halil, halil, halil la!* Nie dziw, że się mu udaje bałamucić stepowe dziewczęta i dawać powody biednej żonie do użalań. Chodząc nad Czungurtajem spotkałem kozaków łowiących ryby, które się obficie w głębszych miejscach znajdują. Przy mnie wyciągnięto kilka sporych szczupaków, linów, jazów i karasi. Kozacy powiadają, iż się także pojawiają dość wielkie sumy. Biednego żółwia oswoodziłem od męczeńskiej śmierci, na którą go byli Kozacy skazali. Usypali z piasku wysoki wzgórek, położyli nań żółwia grzbietem na dół, ażeby się powoli spiekł na słońcu, gdyż jeżeli żółw, skrzywdzony zostanie przy życiu, to niezawodnie przyjdzie i zdepce tego, kto go skrzywdził, a od czego ów umierać musi. Dobrze się stało, że nie pojechał ze Szczapowem, gdyż ledwo sześć dni upłynęło od jego odjazdu, a już trzy koczówki odbyli. Od owej zielonej doliny nad Utwą skierowaliśmy się prosto ku południowi i zatrzymawszy się dwa dni dla wypoczynku nad maleńkimi jeziorkami, utworzonymi zapewne w czasie wiosennej powodzi i nie łączącymi się widocznie z żadną rzeką, dążyliśmy dalej, w tymże samym kierunku ku Bałdurty. Droga nasza szła przez monotonne wszędzie stepy, wszędzie wzgórze gliniaste, piaszczyste, dosyć w trawę ubogie, przernięte tu i ówdzie wąskimi dolinami lub parowami, gdzie bujniejsza wegetacja się daje, kwiaty także wszędzie te same, ta tylko różnica, iż w jednym miejscu panuje *euforbija*, w drugim *timus* (bogorodzkaja trawa), w innym *achillea* biała lub żółta, a wszędzie prawie piołun; miejscami daje się widzieć *konvolvulus*, *scorconera*, *dyrydnik*, gwoździki białe i różowe. Zbiór moich kwiatów zapewne będzie ubogi, dla nie zdrowia nie mogę dalekich robić wycieczek, zbieram więc te tylko, które spotykam w moich przechadzkach po okolicznych wzgórzach i dolinach.

Już słońce dobrze dopiekać zaczęło gdyśmy wjechali na równinę niezbyt rozległą, porośłą kępkami wysokiej trawy, którą w tym miejscu Czylis, od wschodu na zachód przerzyna. Grunt doliny tej często wapienny lub wapienno-piaszczysty, wążutki Czylis, w niektórych miejscach ledwie w wysokiej trawie dojrzany, tu i ówdzie tworzy niewielkie, ale dość głębokie sadzaweczki i tym sposobem dla pojenia trzody przydatny. Kozacy po kilkakrotnym zapuszczeniu sieci ledwie kilka niewielkich karasków wyciągnęli, może dlatego, iż wielkość ich sieci nie odpowiadała głębokości wody. Jakkolwiek bądź innego nie było

środką przekonać się, czy rzeka obfituje w ryby lub nie. Woda płynie bardzo powoli, także kierunek jej biegu, osobliwie, gdy wiatr przeciwny, ledwie dojrzany być może. Zdrowie moje dotąd wyraźnie się nie poprawia, to ból w boku, to duszenie męczyć nie przestawały. Nieregularność życia wiele mi się też na przykrza. Kirgizi jedzą albo kilka razy na dzień albo żadnego razu, albo zbyt rano albo też cały dzień o jednym kumysie przebywszy, dopiero aż późno w nocy do jedzenia się biorą. Czasem, gdy nie ma gości, zamiast świeżego mięsa jedzą wędzoną i soloną koninę, którą i ja kilka razy jadłem i zawsze miałem od niej mocne palenie w żołądku i powiększone duszenie w gardle, dlatego wyrzekłem się jej zupełnie i postanowiłem zawsze czynić zapas kilkudniowy ze świeżego mięsa, które mój Grzegorz nie arcywyśmienicie gotuje, ale od głodu i to dobre. Cieszę się ciągle nadzieją, że taka dieta wyjdzie mi potem na dobre.

Stosunki moje z sułtanem co raz się stają ściślej. Jeżeli mu czego potrzeba z moich rzeczy, rozkazuje Grzegorzowi bez ceremonii sobie podawać, za to ja mam prawo do jego kumysu, do jego mleka, po które ile razy trzeba posyłam; jem prawie zawsze z jednego z nim talerza, czasem też co lepsze kąski wkłada mi prosto do ust swymi sułtańskimi palcami. Przy każdej wieczerzy nie zapomina o domownikach swoich i zawsze wszystkich własnymi rękami nakarmi; mówię nakarmi, gdyż zdaje mi się, iż od kilku garści pełnych mięsa można być sytym. Dlatego też zawsze stawia przed nami ogromny drewniany talerz pełny *machanu*, a czasem, gdy więcej gości, i dwa nawet, gdyż mówił raz do mnie: „taki u nas zwyczaj, że o nikim zapominać nie należy, inaczej miano by do mnie urazę. Często Kirgizi odwiedzają mnie nie dla mojego mięsa, lecz aby się dotknąć moich palców”. W tym razie mówił sułtan istotną prawdę, gdyż bardzo często goście przybywający do niego, przywożą mu kumysu i przypędzają swoje barany i konie, stąd widać, że nie mięso ich sprowadza. Wszakże bez tych podarunków w niedługim czasie sułtan musiałby wszystkie trzody swoje, jakkolwiek liczne roztraktować, zwłaszcza, że żaden z upodobańszych jego gości, a mianowicie z krewnych nie jedzie, ażeby czego także w prezencie nie dostał. Za mojego pobytu jedna z krewnych, która go odwiedziła po długoletnim niewidzeniu, odjeżdżając uprowadziła trzech wielbłądów i piętnaście koni, druga zaś dwa wielbłądy i pięć koni.

Powiedziałem wyżej, iż kobiety siedzą za firankami, firanki te wszakże nie należą zgoła, jak widać, do kirgizkich zwyczajów, gdyż w jednej tylko sułtańskiej kibitce dają się widzieć i wiszą tylko w czasie zebrania gości i w obecności sułtana; w innych kibitkach nawet bogatszych Kirgizów, kobiety siedzą bez żadnego zakrycia, owszem są bardzo wolne w obchodzeniu się z mężczyznami. Te same panny sułtanówny, które u ojca niby rzadkość jaka siedzą za zasłoną, widziałem w innych kibitkach, leżące sobie w jednych koszulkach obok z innymi kobietami i mężczyznami, którzy przy tak dostojnych damach nie wstydzą się odkrywać plecy i nogi aż do kolan i zabawiają się z nimi najpoufalszym sposobem. Przyszedłem także do lepszej znajomości z jejmością, panią sułtanową. Już kilka razy odwiedziła mnie w mojej kibitce. Siada sobie, a nawet kładzie się na moim materacu. Każę sobie robić herbatę, za nią przychodzą i inne kobiety, jej znajome i w gościnie u niej bawiące, wypijają pełen kociołek herbaty i odchodzą powtarzając po kilkakroć: *aldaraza buze* (bardzo dziękuję). Często pytają mnie się, czy mam żonę i nie mogą zdaje się tego pojąć, jak można w takim jak ja wieku żyć bezzennie, dlatego od pewnego czasu począłem im

mówić, że moja żona i cała moja familia bardzo daleko, aż za Rosją, która jest bardzo wielka; liczyłem jak mogłem na palcach setkami wiorst, póki od mułły nie nauczyłem się liczyć po kirgizku i wtenczas byłem lepiej zrozumianym, gdym powiedział: *minike ataj, minike anaj, minike chaton bik alles, ikeumen jar-em czakrem*. Wczoraj rozmawiając z sułtanem o nowo zakładającej się twierdzy nad Morzem Kaspijskim i o tym, że się to Chiwie i okolicznym Kirgizom nie bardzo podoba, zrobiłem uwagę, iż dziwiło mnie, że Chiwa wiedząc o wielkości i potędze Rosji, odważa się często robić jej co do handlu przeszkody, i nie pomyśli, że Rosja, prędzej lub później zechce te przeszkody usunąć a wtenczas Chiwa straci swoją niepodległość i wejść musi pod panowanie Rosji.

– O, co do tego, odpowiedział, to chiwańczykowie zupełnie są spokojni, u nich są mułłowie, którzy ich upewniają, że przyjazne duchy ciągle czuwają nad całością Chiwy i że zaginać jej nie pozwolą.

Uważałem, że sułtan mówił to z mocnym przekonaniem i dlatego nic nie odpowiedziałem, wiedząc, iż co do artykułu o świętości on był nieporuszony i wszystkie moje przeciwne rozumowania były próżne. Sułtan o Europie prawie żadnego nie ma wyobrażenia. Ledwie wie, iż oprócz Rosji są jeszcze jakieś oddzielne narody, zdaje się, iż o Anglikach i Francuzach dotąd ni razu nie słyszał! Pod imieniem Franków równie jak inni muzułmanie, rozumie wszystkich chrześcijan. Po niejakiem milczeniu przydał: wszakże w naszych księgach świętych powiedziano: że kiedy Konstantyn będzie na tronie Franków (tj. Rosji), wtedy Mahometanie będą przez niego pobici, wtedy może i Chiwa upadnie.

Chociaż Baj Muchamed nie zna rzeczy europejskich, ale za to zdaje się, jak najdokładniejszą znajomość stepów kirgizkich posiada. Ma dzieło Lewszyna od p. Gensa sobie darowane, które wątpię czy mógł przeczytać, gdyż z trudnością może składać litery, a jeszcze trudniej całe wyrazy, na mapie atoli przy tym dziele będącej, wskazuje od razu wszystkie stepowe miejsca i dokładnie wszystkie o nich szczegóły opowiada.

O historii swojego narodu równie też wie bardzo mało. Mówił, iż te stepy były pierwaj zamieszkałe przez Kałmyków, że Kirgizi w późniejszym czasie przyszli od Buchary, że Abulchair Chan, dziad jego pierwszy wszedł w stosunki z Rosją, ale co było przed Abulchairem, tego z goła nic nie wie. Wchodząc o tymże przedmiocie w rozmowę z bratem jego rodzonym, sułtanem Tiauką, który niezbyt daleko koczuje i często przyjeżdża w gościnę, ale i od niego niczego więcej nie mogłem się nauczyć. O Kałmykach wyszłych z Rosji wiedzą tylko tyle, że ich matka dotąd żyjąca, ale bardzo stara, jest Kałmyczką wziętą w niewolę przez ich ojca Ajczawuka, w czasie tego wychodu.

Starania moje względem zbierania kirgizkich pieśni dotąd były daremne, lubo już dwa razy zdarzyło mi się słyszeć śpiewanie i granie tutejszych trubadurów. Chęć moją do kirgizkich pieśni zaostrzył jeszcze bardziej Bohdanów *pismowoditiel* przy sułtanie Minczirak, który powiada, iż lubo słyszał wiele śpiewaków i swoich i baszkirskich i czytał dosyć rosyjskich wierszy, wszakże nigdzie nie znalazł nic piękniejszego nad pieśni kirgizkie ściągające się zwykle do wydarzeń historycznych lub do miłości. Prosiłem go najusilniej, aby się postarał o spisywanie tych pieśni, jeżeli mu się odtąd ich usłyszeć zdarzy. Lubo obiecał, wątpię czy prędko będzie w stanie zadość uczynić mej prośbie, gdyż prawie ciągle zajęty papierami, ani minuty nie ma wolnej, oprócz tego nie zawsze się zdarzają śpiewacy, nie postrzegłem, ażeby się Kirgizi bardzo za nimi upędzali; jeżeli się który zdarzy, wchodzi do kibitki i nie proszony sam swoje pieśni przy

instrumencie do bałałajki podobnym zaczyna, po półgodzinnym lub godzinnym śpiewaniu dostaje miskę kumysu i idzie do innej kubitki po taką nagrodę. Obchodząc odleglejsze kubitki spotkałem w jednej podobnego trubadura, trafiłem już na sam koniec, wszakże jeszcze słyszałem kilka piosneczek różnego rozmiaru, których głos przy akompaniamencie dosyć mi się wydał przyjemny. Wielka szkoda, iż nie było żywego ducha, co by choć umiał po rusku, może bym potrafił nakłonić śpiewaka, aby zajechał do naszego aulu, wszystkie moje prośby migowe nic nie pomogły, czy nie rozumiał, czy też nie chciał zadość uczynić mojemu żądaniu, wypiwszy podaną sobie miskę kumysu wyszedł, wszedł na koń i poleciał w stepy, Pan Bóg wie dokąd. Drugi, którego także przypadkiem w jednej kubitce spotkałem, nie śpiewał, ale tylko grał na drumli i na *czubuzie*. Drumla nie jest kirgiskim narodowym instrumentem, granie wszakże tego Kirgiza było bardzo różne od wszystkich tych, jakie mi się pierwszej słyszeć zdarzało. Drumle trzymał całkiem w ustach, tak że ledwie kończyk jego widać było. Rękami się nie dotykał, ale tylko przybliżał lub oddalał od ust, wyrabiając niemi różne figle, jak gdyby ich ruchem rozprowadzał i miarkował drumlowe tony, o których jako nie muzyk, tyle tylko powiedzieć mogę, że mi się dość podobały. W ogólności kirgiska muzyka, ile słyszałem, nie ma jak się zdaje, takiej różnorodności i takiej szybkości w następstwie tonów, jak muzyka nasza. Lubią oni zatrzymać się i spoczywać niejako na jednym głosie, tak jak lubią jednostajne i bezwładne prowadzić życie. Przesiadują dni całe na jednym miejscu bez żadnej roboty, oprócz czezej gawędy. Trzeba by zdaje się wielkiej i blisko dotykającej pobudki, ażeby ich do jakiegokolwiek działania doprowadziła. Wszystkie roboty około domu poczynają za wstyd dla siebie i same tylko kobiety lub *telenguci* są nimi obciążone, żaden zaś wolny Kirgiz do nich ręki nie ściągnie i siedzi sobie założywszy ręce lub smaczno zasypia, wtedy gdy w czasie przekoczowywania z miejsca na miejsce, gdy trzeba stawiać i rozstawiać kubitki, znosić rzeczy, ładować wielbłądy, z biednych kobiet, zwłaszcza przy mocnym upale, pot kroplami spada; nie raz szczerze żał mi było panien sułtanowien, które jak ostatnie robotnice do upadłego prawie pracowały. Przy takim wstręcie do pracy Kirgizi samą tylko ostatnią nędzą przynaglani bywają najmować się za robotników do pogranicznych mieszkańców. Gdym się dowiedział, że znajdujemy się niedaleko linii granicznej i że do „Ozierskiego forpostu” nie więcej będzie nad piętnaście wiorst, chciałem doń pojechać, aby dostać krup i od dawna nie widzianego chleba, prosiłem tedy sułtana Mahbeta o konia i o przewodnika. Co do pierwszego żadnej nie ma trudności. zaś co do przewodnika, powiedział, iż teraz niepodobna go znaleźć, gdyż wszyscy z okolicznych aułów Kirgizi wybierają się na skaczkę, którą jeden starszyna niedaleko stąd koczujący i wydający córkę swoją za męża, w tych dniach ma wyprawiać. On sam tamże jechać zamyśla i na ten cel konia już zaczął przysposabiać. Jakoż spostrzegłem stojącego na uwięzi karnego rumaka, którego morzono głodem, i ledwie kiedy niekiedy do lichej trawy przypuszczano.

Było to dla mnie dobre zdarzenie widzieć kirgizkie wesele oświadczyłem więc sułtanowi, iż nie miałem zbyt pilnego interesu do forpostu, że owszem będzie mi daleko przyjemniej pojechać z nim razem na skaczkę; jeżeli jak powiada niezbyt do niej daleko. Nazajutrz tedy przed wschodem słońca ruszyliśmy w towarzystwie kilkunastu Kirgizów, wszystkich niecierpliwie żądających dostać się co najprędzej na miejsce, gdzie miała się wypróbować rączność ich koni i

gdzie oczekiwało ich mnóstwo mięsa i kumysu; podróż nasza ciągnęła się aż do zmierzchu lubo ciągle jechaliśmy dobrym kłusem a niekiedy nawet i cwałem. Szczęście moje iż dzień był dosyć chłodny, inaczej trudno by było wytrzymać tę podróż dla mnie zupełnie nową; po przybyciu na miejsce dziwiłem się, iż niewiele byłem znużony, zwłaszcza, że konna jazda dawniej nawet przy dobrem zdrowiu, zawsze mnie mocno mordowała. Sułtan Mahbet z Kirgizami został na równinie próbować swoich koni; obaczywszy, że inni toż samo robili, udałem się sam jeden do wskazanego aułu i postrzegłszy piękną białą kibitkę, nieco od innych oddaloną, wniosłem, że to być musi mieszkanie gospodarza wyprawiającego wesele i skierowałem się ku niej. Dwa niewielkie dywaniki były w niej rozesełane, na których siedziało dwóch Kirgizów. Oba umieli trochę po rusku. Jeden z nich młody i dość przystojny był pan młody. Od dwóch dni siedział z towarzyszem swoim w tej kibitce, umyślnie dla siebie postawionej i nigdzie się z niej nie wydałał, gdyż nie wolno mu było spotkać się we dnie z narzeczoną, którą tylko ukradkiem przyprowadzała doń bratowa jej ojca. Już lat siedem jak się zareczył. Wtenczas jeszcze był gołowasy a teraz już mu bródka na palec urosła. Kałymu zapłacił czterdzieści baranów, pięć koni i krów kilka a teraz na ostatek przyprowadził dwa wielbłądy. W posagu ma wziąć tę piękną białą kibitkę i zapewne jakie takie sprzęty i ubiory kobiece. „U was, przydał daleko lepszy zwyczaj nie ma tyle zachodów i człowiek się tak długo nie męczy”. Zrobiłem uwagę, że takie ukradkowe widywanie się z narzeczoną musi mieć swe wielkie przyjemności. Już było dość późno, gdy przybyli moi towarzysze rozsiadaliśmy konie i zabieraliśmy się do spania, gdyż właśnie tę kibitkę pana młodego chciano nam wyznaczyć na kwaterę, wtem przyszedł posłaniec od gospodarza, który nas zapraszał do siebie. Gdy weszliśmy do jego namiotu, już zarznięty i oprawiony baran leżał u progu, dobrą dla wygłodniałych zapowiadając wieczerzę. Mnie i sułtana Mahbeta posadzono na dywanie naprzeciwko drzwi wchodowych, inni usadowili się naokoło przy ścianach kibitki. Ogień tylko co rozniecony pośrodku tłał pod ogromnym żelaznym kotłem i kiedy niekiedy błyskając szerszymi pasmami oświecał szerokie i ogorzałe twarze Kirgizów. Dym gęstymi kłębami wymykał się przez górny otwór, nie dosięgając dokoła siedzących biesiadników. Dwie stare kobiety zwijały się koło barana i porąbanego na części rzucały do kotła, w którym woda już wrzeć poczyniała; tymczasem kumys, dusza wszystkich biesiad kirgizkich, obficie krążyć począł i wrzaskliwa szumiała rozmowa. Na ostatek ucichli wszyscy i dał się słyszeć chrapliwy głos Czybuzga. Wpatrując się w tę stronę skąd głos wychodził postrzegłem siwego i brodatego Kirgiza, którego grube rysy i gęsta, przy wzmagającym się kiedy niekiedy płomieniu, rozeznawać można było. Za każdym przestankiem mocno wymawiał jakieś krótkie słowo, jak gdyby kończące myśl poprzednio przez muzykę wyrażoną. Po umilknięciu Czybuzga zaczęły się pieśni. Dwaj naprzeciwko siebie siedzący młodzi Kirgizi śpiewali na przemian krótkie strofy, jak pasterze w opisach Wirgiliusza. Musieli wieść spór pomiędzy sobą i słuchacze szumnym śmiechem i głośnym powtarzaniem niektórych prześpiewanych wyrazów, to jednego, to drugiego zachęcali. Ciekawy bardzo byłem wiedzieć o co rzecz szła i zapytywałem po kilkakroć obok siedzącego Kirgiza, który umiał nieco po rusku, ale ten mi zawsze powiedział: „pieśni śpiewają, zwyczajnie, pieśni” i tym podobne nic nie znaczące wyrazy. Śpiewanie to ciągnęło się dość długo, tymczasem ugotowała się baranina i wyłożono ją z kotła na kilka wielkich drewnianych mis, na jedną tłustość, na drugą wątrobę, potem mięso itd. Z tych dopiero sam gospodarz kładł zakasany aż po łokcie rękami po kawałku do każdego talerza, które po zwykłym umyciu rąk roz-



noszono gościom. Mnie dostał się spory talerz, ledwie dziesiątą część zjeść mogłem, resztę naśladować moich towarzyszków, porznawszy na drobne kawałeczki, częstowałem dokoła siedzących gości, począwszy od gospodarza, i wkładałem im do ust całe garście *machanu*, z czego i gospodarz i goście wielce byli kontenci. Choć już mieliśmy wyznaczoną kwaterę gospodarz prosił mnie i sułtana Makbeta, abyśmy nocowali, gdyż w tamtej będzie wiele ludzi i może być niespokojnie.

Nazajutrz skorośmy się obudzili postawiono pośrodku dzbanek z wodą, z którego wszyscyśmy się umywali, po czym wypiwszy po ogromnej misce kumysu zamiast herbaty pojechaliśmy do przyległego aulu, gdzie byli znajomi sułtanowi Kirgizi, i gdzie mieliśmy oczekiwać na *skaczkę*, która powinna była odprawić się tegoż samego wieczora. Tu nam dano osobną kibitkę, zarznięto *kurgaszka* i oprócz tego częstowano *ajranczykiem* i masłem, które moi towarzysze z wielkim apetytem zjadali, biorąc w rękę i przekładając z jednej do drugiej oblizywali dłonie. Dziwili się mocno, że ja tak smakowitej rzeczy nie jadłem. Lecz chociaż dotąd we wszystkim starałem się ich naśladować, nie mogłem w żaden sposób jeść samego masła, które oprócz tego było nieświeże i nieczyste. Inny Kirgiz z sąsiedniej kibitki zaprosił nas także na barana, którego umyślnie zarznął dla uraczenia sułtana. Dziwiłem się niepomiernemu apetytowi moich towarzyszy, którzy tylko co po obfitej uczcie, sprzątnęli w oka mgnieniu całego barana. Gdy po tym bankiecie wszyscy się pokładli poszedłem chodzić po wapiennych okolicznych wzgórzach, prawie zupełnie nagich, widać było daleko ciągnącą się ku wschodowi równinę pokrytą zieloną trawą i poprzerzynaną tu i ówdzie parowami dość głębokimi, w które woda zapewne w czasie wiosennych powodzi nalana, a teraz stojąca i na wpół z błotem zmieszana, służyła za nędzny napój trzodom kirgiskim. Z tym wszystkim na tym miejscu były rozsypane jak okiem dojrzeć, w niezliczonej liczbie kibitki i czyniły widok równiny zajmującym. Gdy się słońce dobrze zniżyć zaczęło (nie mając zegarka na godziny czasu liczyć nie mogłem) ze wszystkich tych aulów wysypało się mnóstwo konnych jeźdźców. Wszyscy dążyli ku wzgórzom, na południe o kilka wiorst leżącemu, kilkunastu jeźdźców, mających walczyć o rąchość swych koni, ruszyło naprzód wraz z kilku świadkami na miejsce wyznaczone, skąd bieg swój rozpocząć mieli i wkrótce zniknęli mi z oczu. Nie mogłem dokładnie dowiedzieć się jak wielka była meta, jedni mówili, że na dziesięć, drudzy, że na piętnaście wiorst. W ogólności trudno się od Kirgiza dowiedzieć o odległości, równie, jak trudno dowiedzieć o czasie. Kiedy powie, iż wiorst piętnaście, to śmiało liczyć można we troje, jeżeli nie więcej i dlatego chcąc się dowiedzieć od nich o odległości, lepiej jest pytać, w jakim czasie i w jakim biegu ją przebyć można, i tak nawet rzadko który dokładnie odpowie. W tym czasie jednak niewiele się musieli omylić, gdyż po dwóch może po trzech godzinach ukazały się wśród chmury kurzu nasze bieguny.

Kawał poszarpanej *koszmy*, zawieszony na drągu, służył za kres ich biegu. Biesiadnicy, którzy dotąd wokoło niewielkiego wzgórza skupieni, słuchali śpiewów pośrodku stojącego barda, poruszyli się jednym razem, aby lecieć na spotkanie zawodników, ale gospodarz ze swoją partią nie chciał im na to pozwolić. Wszczął się wrzask okropny, machali rękami, wywijali batogami, ale w końcu uciszeli się i widać, że gospodarza strona zwyciężyła, gdyż pozostali na miejscu. Wszakże niedługo trwała cisza, bo gdy tamci bliżsi podjeżdżać zaczęli wtenczas rzucili się wszyscy naprzód; znowu się wszczął krzyk nadzwyczajny wśród za-

mieszania niepodobna było odróżnić zawodników od widzów; domyśleć się tylko można było, iż każdy z ostatnich dopomagać chciał swojemu znajomemu do otrzymania zwycięstwa. Stałem na koniu niedaleko mety chcąc wszystkiemu dobrze się przypatrzeć, ale wśród tłumu nic prawie widzieć nie mogłem i ze wszystkich stron ściśnięty ledwie co wymknąć potrafiłem. Mignął tylko w mych oczach biedny baran, naznaczony w nagrodę zwycięzcy, którego rwali na różne strony. Spór ten skończył się na tym, jak mi mówiono później, iż barana przyrządzono Kirgizowi, którego koń siwy niezaprzeczalnie odznaczał się w biegu, lubo o doścignieniu do mety wśród takiego chaosu, nic pewnego postanowić nie można było. Już miało się ku wieczorowi gdyśmy wrócili do aułu.

Cały ten tłum nie zsiadał z koni, ale się snuł pomiędzy kibitkami, z których dwie były zajęte przez kobiety wystrojone w najparadniejszą odzież. I panny i mężatki miały na sobie chałaty różnokolorowe, jedwabne, czerwone lub amarantowe, aksamitne. Dziewice odznaczały się od zamężnych tym, iż na głowach miały albo kołpaczki stożkowatego kształtu z piórkami u góry i różnymi brzękawkami po bokach lub tylko prosto związane chusteczki. U mężatek zaś kołpaki u góry znacznie ścięte i zwykle częścią w białe płótno obwinione, które okrywając po obu stronach uszy i przechodząc popod brodą padało długim końcem na plecy na kształt płatów włościanek poleskich.

Panna młoda sama nie miała na głowie żadnego szczególnego ubrania. Włosy po prostu w kilka kos splecione spadały na plecy; na nich zawieszona była czerwona jedwabna chusteczka, spod której kiedy niekiedy wymykało się omdlewające wielkiego czarnego oka spojrzenie. Już od pewnego czasu rozlegały się po kibitkach żałobliwe pieśni. *Koszmy* po bokach były podjęte i przez kratkowane ściany całe ich wnętrza widne było. Na końcu zjawił się młody śpiewak, który siedząc przy kratce zewnątrz kibitki, począł także intonować grubszym tonem i rozpoczęło się śpiewanie na przemian. Gdybym rozumiał po kirgizku zapewne treść tych pieśni dałaby mi poznać różne mniemania kirgiskie, ściągające się do epoki najciekawszej ich życia. Śpiewanie to miało się ciągnąć bez żadnej odmiany przez całą noc; dlatego nie spodziewając się obaczyć nic nowego wróciłem do swojej kibitki i położyłem się spać sam jeden rad, iż tę noc spokojnie będę mógł przepędzić. Nazajutrz do dnia znowu *skaczka* zupełnie taka jak pierwsza, z tą tylko różnicą, iż zamiast barana zwycięzca klacz otrzymywał. Po *skaczce* dziewięć kibitek umyślnie na to rozstawionych, napęłniło się biesiadnikami. Kumys i *ajranczyk* przywożono z sąsiednich aułów, zwyczaj u Kirgizów wynikający z koniecznej potrzeby, bez czego najbogatszy nie byłby w stanie ugasić pragnienia swych licznych gości. Częstowano miskami, które były wielkości naszych salaterek, a których po kilka, w niezbyt długim czasie, każdy wypijał.

Dwie kibitki osobne były zajęte przez dziewczęta ciągle śpiewające, między którymi znajdowała się panna młoda, i jedna kibitka przez zamężne kobiety. Kobiety te traktowano *ajranczykiem*, który rozkruszony na niewielkie kawałeczki w drewnianych korytkach podawano. Zaproszony z towarzystwem moim do jednej z najlepszych kibitek, napiwszy się kumysu i kilka minut posiedziawszy, wymknąłem się z tego natłoku dusznego by obejść i obejrzeć wszystko. Zaszedłem do kobiet, gdzie mnie podano garść *ajranczyku*, myślałem, że się na tym skończy i chciałem wychodzić, gdyż wszystkie te stare baby, choć wystro-

jone i niemiłosiernie naróżowane, strasznie były odrażające. Już uroczyście wyrzekłem *aman bul*, i miałem się ku drzwiom, ale zachodzi drogę jedna, bierze za rękę i krzyczy: *lachte, tochte kutak barma, ilkunma kichinem*, i razem przy tych wyrazach nuż mnie na wszystkie strony skubać i laskotać; do niej przyłączyło się wiele innych i w takie mnie wzięły obroty, iż myślałem, że ducha wyzionę. Krzyku mojego wśród ich wrzasku nie było słyhać. Na moje szczęście przechodził znajomy Kirgiz i mnie od tych żartów i pieszczot oswobodził. Panny były daleko grzeczniejsze, witały się ze mną i podawały, acz z małym oporem swoje ręce. Panna młoda nawet pozwalała uchylać zasłony i przypatrywać się nieszpętnej swej twarzyczce.

Po niejakiem czasie tak się ośmieliły, iż zabawiały się moimi rękawiczkami, które mi z rąk pościągały, moim kołnierzykiem, połami surduta, nożyk wyjęły z kieszeni i obrzynały nim sobie paznokcie, ale najbardziej im się podobały moje błyszczące guziki od kamizelki, i tak się ich uparły, iż nie było rady i musiałem cały jeden rząd oberznąć. Zjawiła się tymczasem jedna zamężna – która z nich się najbardziej tobie podoba? – zapytała, która najpiękniejsza? Wszystkie są piękne. – Ale która mianowicie, powiedz; kiedy milczałem nie wiedząc co odpowiedzieć, ona porwała moją rękę i poczęła wciskać w rękę tej dziewczyny, której nieco pierwej przypatrywałem się czarnym pięknym włosom. Wtem zrobił się na dworze jakiś tumult, wszystkich oczy zwróciły się w tę stronę i ja wymknąłem się obaczyć, co to znaczy. Była to jakaś bagatela, wnet wszystko uciхло, gospodarz zbliżył się do mnie i zaprosił na *machan*, który wtenczas na drewnianych talerzach, na drobnutkie kawałeczki pokrajany, kumysem oblany, po wszystkich kibitkach roznoszono. Podziękowałem gospodarzowi, gdyż było jeszcze dość rano i czułem małą niestrawność po wczorajszej wieczerzy. No to choć słuhać śpiewania naszych dziewczyc i przyprowadził mnie pod tę samą kibitkę, z której przed chwilą wyszedłem, i gdzie podobnie jak dnia wczorajszego, siedział ten sam śpiewak i toczyły się pieśni na przemian. Głos był ten sam, wyrazów nie zrozumiałem, postawszy parę minut odszedłem, chcąc zwiedzić jeszcze kibitki, z których mięso rozchodziło się w takiej obfitości. Było ich dwie drzwiami z sobą połączonych. W jednej stało kilka worów wypełnionych kawałkami gotowanego mięsa, a na rozesłanych słomianych matach toż samo mięso tylko drobno pokrajane ogromnymi stosami leżało. Wysoki Kirgiz z zakasanyimi po łokcie rękawami, z ogromnym nożem, napełniał garścią podawane sobie przeze drzwi talerze, polewał kumysem i wstawiał do drugiej kibitki, skąd je zabierano i niesiono, gdzie tylko trzeba. Do tej zaś kibitki, gdzie był skład mięsa, nikt oprócz niego nie miał wolnego wstępu. Po uczcie wszyscy wsiedli na koń i odjechawszy nieco od kibitek zrobili niewielkie koło, gdzie się odbywały znajome już nam zapasy ręczne, nie bez hałasu i sporów względem tego, komu się nagroda należy.

Zwycięzcy dawano po kawałku białego płótna. Taka widać nieszczęśliwa natura ludzka, iż w najoczywistszej rzeczy nie obejdzie się bez sporów i kłótni, kiedy się przeciwne spotkają interesy i kiedy nie ma jakiej pośredniej władzy, która by powagą swoją namiętności ludzkie na wodzy trzymać mogła. Zapaśnicy występując do walki wkładali na obnażone po pas barki *jergaki* włosom na dół wywrócone i po wierzchu z lekka przepasywali się chustami. Widać taki ubiór znajdowali dogodniejszym dla swobody poruszeń i nie tak przystępnym dla ujęcia przeciwnikowi. Gdy już przeciwników nie stało resztę pozostała płótna rozdarto na kawałeczki i rozdano widzom. Mnie także dano niewielką szma-

tę mówiąc: Wy naszym gościem jesteście, ta szmatka nic nie kosztuje, ale proszę przyjąć, bo taki u nas obyczaj.

Przez cały ten dzień miały jeszcze trwać śpiewy przy pannie młodej, która dopiero o samej północy miała być zaprowadzona do kibitki pana młodego i zupełnie oddana na jego opiekę. Wszakże wszyscy prawie goście zaraz po *skacze* rozjechali się do swoich aułów i zaczęto rozbierać kibitki na ich przyjęcie postawione. Jadąc nazad wstąpiliśmy do kibitki, gdzie leżał bez mowy pod białą kotarą mały chłopiec, który podczas wyścigów upadł wraz z koniem w największym pędzie. Dokoła w milczeniu siedzieli krewni i znajomi. Jeden muła rozwiedzionym w łyżce szafranem namaszczał choremu czoło, ręce i nogi, a drugi czytał modlitwy. Zabawiliśmy przy nim chwilę a następnie udaliśmy się w dalszą drogę.<sup>2</sup>

\*

### **Józef Kuczyński – Z duszpasterską posługą**

Ks. Józef Kuczyński urodził się w 1904 r. w Buczkach koło Żytomierza. W roku 1930 ukończył seminarium w Łucku. W latach 1933-1937 przebywał w Paryżu gdzie obronił rozprawę doktorską. Od 1939 do 1944 r. był proboszczem w Szumbarze i Dederkałach. Za zorganizowanie samoobrony Polaków przed atakami ukraińskich nacjonalistów był odznaczony Krzyżem Walecznych Aarii Krajowej. Przez krótki okres czasu, po przesunięciu się frontu w kierunku zachodnim prowadził pracę duszpasterską na terenach wschodniej Ukrainy. W 1945 r. został aresztowany i skazany na 10 lat łagru, z czego 9 spędził w Workucie. W latach 1956-58 był duszpasterzem w Kazachstanie. W latach 1958-65 ponownie był na zesłaniu. Od 1966 r. aż do śmierci (1982) był księdzem w Barze i innych parafiach na Podolu.

\*

Wyjeżdżając z Workuty, byłem już zdecydowany, że pojedę do Kazachstanu. Przedtem jeszcze odwiedziłem strony rodzinne. Pojechałem najpierw z dziękczynieniem do dobrodzieja Chomiczkiego, który padł przede mną na kolana, a ja przed nim. A gdy usłyszał, że jadę do Kazachstanu – znowu na kolana. Wyposażyli mnie tam w szaty liturgiczne, organista zrobił mi 10 różnych zdjęć i potem przysłał setki odbitek. Bronio radził: zostawić 50, resztę spalić. Miałem z tym ogromne kłopoty.

Potem dotarłem do matki, u której po latach rozstania przebywałem 12 dni. Następnie wyjechałem do Kazachstanu. Na miejsce przybyłem w czerwcu. Zameldowałem się i jakoś mnie nie pytano, gdzie pracuję, czy gdzie będę pracować. Nie odprawiając nawet nabożeństwa w niedzielę pojechałem od razu do Karagandy i Akmolińska odwiedzić przyjaciół i towarzyszy z więzień i obozów. W Karagandzie byłem 27 czerwca 1956 r. na imieninach ks. Władysława

---

<sup>2</sup> Podstawa relacji: A. Suzin, *Wycieczka w stepy kirgiskie odbyta w 1834 roku* [w:] „Kronika Rodzinna”, 1871, nr 17, s. 270; nr 18, s. 284-286; nr 19, s. 301-302; nr 20, s. 316, nr 22, 349-350; nr 23, s. 262-264; nr 24, s. 380-382.

– spotkanie po 10 latach! – i na poświęceniu kaplicy, którą tam kupili. Był to odpowiednio przerobiony dom.

W końcu dotarłem do Tańczy, gdzie przez dwa i pół roku miałem być proboszczem, czy raczej misjonarzem.

Okolice Tańczy to rejon trosmarhyuniński, czkałowski i keplerowski, gdzie w 26 osiedlach mieszkali Polacy. W każdym osiedlu mogło być około 300 domów tak, że było około dwudziestu kilku tysięcy ludzi, którzy przetrwali w wierze pomimo, że przez 20 lat nie widzieli kapłana. Byli oni osiedleni w zwartej masie i mieli oparcie jedni w drugich, co ułatwiło im przetrwanie a ponadto pochodzili z dobrych parafii. Były nawet dwie parafie mazurskie, których ludność zachowała język polski. Reszta zaś mówiła po ukraińsku, był to jakby ich język ojczysty. Niektórzy zdołali wyrwać się spod komendantury do osiedli roboczych i żyli już w rozproszeniu między ludźmi różnych narodowości.

Gdy przystąpiłem w Tańczy do pracy, ludzie zaczęli gnać się do kościoła ze wszystkich stron. Przyjeżdżali z odległości 40, 60 i 80 kilometrów na pudłach samochodów ciężarowych, nawet wśród upałów i zamieci piaskowej, a w zimie w mróz i śnieg – ciepło odziani.

Pracowałem tam w warunkach nadzwyczaj ciężkich: wyjazdy były trudne, trzeba było nieraz jechać 50 km do chorego, latem panowały upały do +40° a zimą mrozy do -40°C, a nade wszystko byłem w ciągłym strachu, że coś się może stać. Od ks. Rzepeckiego z Akmolińska miałem pocieszające wiadomości, że prawie swobodnie mógł pracować; te wiadomości okazały się jednak złudne, i na skutek zbyt optymistycznego nastawienia naraziłem się na różne przykrości i niepowodzenia. Myślałem, że rzeczywiście można pracować swobodnie. Pojechałem na pierwszy posesiołek odległy 22 km od Tańczy, gdzie zesłani byli moi dalecy krewni. Komendantem był tam Kazach, który nie sprzeciwiał się temu, abym zaczął spowiadać, chrzczyć i wykonywać jakiegokolwiek posługi w chacie, w której mnie przyjęto.

Ludzie byli tam całkowicie przygotowani do spowiedzi i Komunii św., tak dzieci jak i osoby dorosłe, wstępujące w związki małżeńskie. Były tam bardzo pobożne i uświadomione niewiasty, które mogły nauczać. Później dwie z nich pracowały u mnie w Tańczy jako katechetki. Niewiasty te pochodziły z parafii Sławuta, gdzie pracował ks. Ruszyński.

Po pewnym czasie władze miejscowe, czyli rada wiejska – należał do niej Polak, niejaki Cerklewicz – zabroniły mi dalej pracować. Jako zesłaniec miałem pozwolenie na wyjazd na czas określony i tylko do ustalonej miejscowości. Musiałem więc wrócić do Tańczy. Najgorzej bywało, gdy jakiś Polak był we władzy miejscowej.

W Tańczy zbierało się dużo ludzi w domu Szymona Czarnego, który nie bał się przyjmować u siebie księży i umożliwiał odprawianie Mszy św. W swoim mieszkaniu. Myślałem, że jest on bardzo odważny, ale pewnego razu, gdy przyszedł prezes rady osiedlowej, to widziałem, że cały drżał. Postępował jednak bardzo dzielnie.



Ten dom Czarnego zaczęliśmy przerabiać na kaplicę. Zburzono ścianę a gospodarze urządzili się w przedsionku, gdzie na taboretach jedli obiad. Żartowali z nich, że są Kirgizami. Właściwie nie był to przedsionek; w Kazachstanie

buduje się w ten sposób, że jeśli trzeba zrobić jakąś przybudówkę, to doczepia się ją z boku. Przybudówka taka nazywa się *priczepa* i służy jako zabezpieczenie od wiatrów i zamieci. W *priczepie* zostawia się przestrzenie bez ściany i składa się tam siano, słomę, by nie wychodzić na zewnątrz, bo w czasie wielkich wiatrów nie sposób czegokolwiek donieść do domu. W przybudówkach bywają też studnie i wejścia dla bydła.

Priczepa ta bardzo nam się przydała. Ułożyliśmy w niej podłogę, ułożony z drążków dach podbiłem fornirem i pomalowałem, tak że wyszło dość przyzwoite pomieszczenie. Pod ścianą stały wieszaki i ławki, na których przyjezdni mogli wieszać swoje kożuchy oraz ustawiać koszyki prowiantem, a do kaplicy wchodzili już jako do pokoju. W kaplicy zbudowałem piec i zrobiłem wyciąg do wentylacji, taki, jakie widziałem w barakach w Workucie. Chociaż kaplica była niewielka- zaledwie 12 metrów na 4 – mieściła jednak sporo ludzi. Zdarzało się, że w zimie, w czasie burzy śnieżnej ludzie, którzy przyjechali na nabożeństwo, nocowali w kaplicy i w *priczepie*.

Nabożeństwo odprawiało się codziennie w intencji ludzi, którzy polegli w czasie wojny. Umarli oni bez spowiedzi, pochowani zostali bez kapłana; wszyscy więc garnęli się na te nabożeństwa i codziennie śpiewano modlitwy za zmarłych. Mieliśmy zaimprovizowany katafalk, świece a nawet obraz Matki Boskiej Pocieszenia, który przywieźli ze sobą ludzie z Jampola. Ludzie wywożeni na Sybir starali się zabrać ze sobą nie tylko jak najwięcej rzeczy osobistych, ale i ten obraz wzięli, pakując osobno jego szatę i koronę oraz składając płótno w taki sposób, by nie połamać oblicza. Przywieźli ponadto mszał, krucyfiks, dzwonek i żelazko do pieczenia opłatków. Mając takie wyposażenie można się było tutaj bardzo ładnie urządzać. Ponadto dostałem ze Lwowa obraz Serca Jezusowego z kościoła O.O. Jezuitów oraz obraz Pana Jezusa Ukrzyżowanego. Zamontowaliśmy też w kaplicy urządzenie, które odsłaniało i zasłaniało obraz Matki Boskiej.

Jednak i tutaj nie omijały nas trudności. Polecono nam zwołać tzw. „dwudziestkę”, czyli komitet kościelny, wybrać zarząd i podać władzy obłasti celem zarejestrowania. Uczyniliśmy zgodnie z żądaniem. Przez jakiś czas wzywano nas by nam oznajmiać, że nic nie zostało załatwione i że pracujemy nielegalnie. Kiedy pojechalismy do władz, aby to wyjaśnić, powiedziano nam, że nie ma naszego podania. Zmienił się jakiś tam sekretarz i pism naszych nie odnaleziono.

Napisaliśmy nowe podanie. Początkowo mówiono, że złożone pisma wystarczą, później jednak, że muszą sprawdzić, czy dom jest zdalny do użytku i że potrzebne jest zaświadczenie stacji epidemiologicznej oraz zaświadczenie o stanie bezpieczeństwa przeciwpożarowego. Po wielu trudnościach uzyskaliśmy potrzebne dokumenty. Jak się dowiedzieliśmy później, pracownicy stacji epidemiologicznej mieli powód wydanego zaświadczenia ogromne nieprzyjemności, o mało ich nie usunięto z pracy. Natomiast komisja techniczna uznała, że dom grozi zawaleniem i nie nadaje się do użytku. Zgłosiliśmy zastrzeżenie, że od półtora roku jest już użytkowany, dlaczego więc nie spostrzegli tego wcześniej? W końcu pojechałem razem z delegacją parafian, aby wyjaśnić wszystkie wątpliwości. Kiedy wreszcie przyjęto nas w urzędzie i okazało się, że nie jestem osamotniony, że stoi za mną naród, przez jakiś czas mieliśmy spokój. Potem znowu zaczęły się jakieś nieporozumienia, wzywania do urzędów, straszenie, w końcu przysłano nam nawet prokuratora.



Przyjechał w sobotę i rozpytywał o jakieś obrazki, to znów o jakąś młodzież i nakazał mi stawić się w poniedziałek w kancelarii koło Nowosuchotina. Te dwie doby wyczekiwania były bardzo denerwujące. Kiedy przyjechałem, siedział w poczekalni i pisał na maszynie, nic do mnie nie mówiąc. Wreszcie kazał mi usiąść. Czekałem może z półgodziny. Z końca korytarza widać było cele więzienne zamknięte na sztaby i na klucz. Wreszcie poprosił do gabinetu i zapytał: „Co to jest takiego, że sprzedajecie swoje portrety”? Tłumaczę, że byłem u kolegi na Ukrainie, że mi tam robiono zdjęcia, które rozdaje, jeśli mnie ktoś poprosi, ale że żadnych pieniędzy za to nie brałem. Wobec tego polecił, abym napisał wyjaśnienie. Najpierw zresztą sam pisał, ale potem powiedział, że jestem człowiekiem piśmiennym i poprosił, żebym sam napisał. Napisałem więc, że za moje zdjęcia żadnych pieniędzy nie żądałem, ani nie otrzymywałem. Potem wyjął wszystkie podania, które pisaliśmy do władz w celu rejestracji. „Dlaczego – powiada – to wszystko jest napisane jedną ręką? A czy to są autentyczne podpisy” Odpowiadam, że oczywiście, przecież nikt ludzi nie oszukiwał, nie przymuszał. Chcieli należeć do rady i podpisali. Zapytałem też, dlaczego te podania dostały się aż do prokuratora, skoro sprawdzał je któryś z urzędników rady wykonawczej. Odpowiedział, że oddano mu je. Następnie rozpytywał, jak wygląda nasz kaplica, mówił, że chciałby przyjść zobaczyć. Odpowiedziałem: „Proszę bardzo”. Na tym przesłuchanie zakończyło się, było to takie szarpanie nerwów, chodziło mu o to, by mnie zastraszyć.

Obłożono mnie dużymi podatkami. Za pierwsze pół roku zapłaciłem 12 tysięcy rubli, za drugi rok – 36 tysięcy, a za trzeci 89 tysięcy. Napisałem deklarację o dochodzie, w którym nic nie można było zakwestionować, a mimo to podstawę wymiaru podatkowego stanowiła kwota trzykrotnie wyższa od zadeklarowanej. Oświadczyłem, że nie przyjmę takiego wymiaru podatkowego, wobec czego przysłano do mnie poborcę i chcąc nie chcąc musiałem zapłacić. Pracownicy wydziału finansowego twierdzili, że w kościele zbiera się kwestę trzykrotnie, na różne cele. Odpowiedziałem, że jeśli ktoś chciał coś przynieść, to dał podczas jednej kwesty i na pewno więcej nie będzie dawał. Przyszli do kościoła na kontrolę. Patrzyli, co robię, co biorę. Kiedy przynoszono kwestę, natychmiast przystąpili do jej liczenia. Twierdzili, że biorę pieniądze za posługi – za chrzty i śluby. Mówiłem, że biorę „co łaska” i to nie przed posługą, ale potem, tak że nawet nie wiem, ile otrzymam, bo nie patrzę, ile kto daje. Zapisali te wszystkie dochody i przyjęli, że tak bywa każdej niedzieli. Tłumaczyłem, że bywają okresy niepogody, kiedy dochody są znaczne niższe, ale moich zastrzeżeń nie uwzględniono.

Kontrole w kościele wywoływały niesłychane wrażenie. Podczas gdy słuchałem spowiedzi, kontroler siedział o kilka metrów ode mnie i patrzył, czy nie biorę pieniędzy, a wierni w tym czasie odmawiali różaniec. Finansiści ci nie zwrócili jakoś uwagi na to, że dzieci trzymały w rękach książeczki do nabożeństwa, czego im nie było wolno. Zresztą później i to było przedmiotem wyjaśnień. Zarzucano mi, że rozpowszechniam książeczki do nabożeństwa, pisano o tym w prasie.

Najwięcej jednak kłopotu było z tymi podatkami. Banknoty miały wówczas bardzo małą wartość. Chcąc zanieść na przykład 15 tysięcy, trzeba było brać walizkę. Najgorsze było liczenie. Jestem dość roztargniony i kiedyś nie po-

liczyłem pieniędzy dokładnie i przy ich zdawaniu urzędnik rzucił mi je z powrotem i kazał jeszcze raz liczyć.

Po przesłuchaniu prokuratorskim zaczęto interesować się fotografiami, medalikami i obrazkami. Znowu wyjaśniałem, że fotografie zrobił mi przyjaciel na Ukrainie, a obrazki, medaliki, krzyżyki i różańce kupowali ludzie we Lwowie i odstępowali mi. Podałem, jaką otrzymałem ilość, i że brałem po kopiejce czy po kilka kopiejek więcej. Urzędnik podatkowy odetchnął z ulgą. Widocznie ktoś doniósł do obłasti, że produkuję dewocjonaalia a ni nie obłożyli tego podatkiem. Dopisałem więc do deklaracji podatkowej, że znajomi z Ukrainy przywozili mi te przedmioty, ze sprzedaży których miałem taki a taki zysk. Po tym wszystko się uspokoiło, a korzyść miałem taką, że mogłem już oficjalnie handlować tymi rzeczami.

Radzono mi, abym handel dewocjami przekazał komuś innemu. Mówiłem, że nie, gdyż kogo innego mogliby oskarżyć o spekulację, a ja, skoro płacę podatek, mogę się tym zajmować.

Ponieważ nie wszyscy mogli dotrzeć do kościoła i przywozić dzieci do chrztu – jeździłem po wsiach i w mieszkaniach odprawiałem Mszę św., spowiadałem, komunikowałem, chrzciliem i udzielałem ślubów. Odbywało się to w okropnym zaduchu i ciasnocie. Ale pamiętam też taką wieś odległą od Tańczy o 50 km – chyba Białojarka – gdzie postawiono wysoki namiot i w nim wybudowano kaplicę, ozdobioną sosenkami.

Niektóre osiedla były niemieckie, ale nawet w polskich mieszkali Niemcy, jedni protestanci a inni katolicy. Tak więc udzielałem ślubów po polsku, po niemiecku, po rosyjsku, a nawet na migi – dla głuchoniemych. Praca była piękna. Później chodziliśmy na cmentarz, gdzie „pieczętowaliśmy” groby i odprawialiśmy procesje, zwykle z pięcioma stacjami na Dzień Zaduszny, niezależnie od pogody. Zazwyczaj było to już po pracy, po żniwach. Dni były już dosyć chłodne, nieraz mroźne. Bywało i tak, że ludzie trzymali w rękach grudki ziemi, a ja siedziałem w kabinie ciężarówki i świeciłem, kropiłem, odmawiałem modlitwy pogrzebowe, a oni następnie kładli ziemię na gronach swoich bliskich. Trzeba jednak było, by ktoś znalazł samochód i przyjechał po mnie. Z czasem i o tym doniesiono do rejonu i prezesa kołchozów, bojąc się konsekwencji, odmawiali wypożyczenia koni czy samochodu; kierowcy zaś narażali się na przykrości. Liczyłem więc na prywatnych właścicieli samochodów. Niektórzy bardzo dobrze tam zarabiali. Na przykład kombajniści w dwa sezony mogli zarobić na auto. Płacono im zbożem, i jeśli je zdawali, nie musieli czekać w kolejce na przydział auta. Zwykle jeden brał od drugiego kwit na zboże i kupował auto w jednym roku, a tamten w następnym. Taki Polak, który miał samochód, najczęściej był proszony na kuma, dlatego że mógł przy okazji zawieźć wszystkich do kościoła. Właśnie ci ludzie pomagali często pojechać do chorych czy obsłużyć wieś.

Do chorych najczęściej jeździł ze mną ślusarz samochodowy z autobazy – Niemiec, protestant, który posiadał własny samochód osobowy. Ponieważ mógł wyjeżdżać dopiero po pracy, o godzinie 17 czy 18 – jechaliśmy na noc. Czasem trzeba było pokonać 80 km. W ciągu wieczoru, a nieraz nocy, spełniałem swoje obowiązki duszpasterskie, a o świcie wracaliśmy do Tańczy. Drogi, którymi jechaliśmy, były wyboiste, usypane za pomocą pługów z ziemi gruntowej. Im więcej się od ludzi wymagało, tym więcej garnęli się do kościoła. Starali się, by do chrztu byli kumowie odpowiedni, żeby do spowiedzi rzetelnie przystąpić, znali

pacierz i katechizm. Wymagałem, by dzieci w wieku 4-5 lat znały „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Mario”. Jeśli tego nie umiały, nie chrzcilem. A jeśli dziecko miało 7-8 lat i nie było przygotowane do spowiedzi, kazałem najprzód nauczyć, bo przecież chrzczymy po to, aby z dziecka wyrósł chrześcijanin. Czasem zdarzało się, że dorośli, będący kumami, musieli najpierw sami poddać się obrządkowi chrztu. Zdarzało się też dość często, że przyjeżdżały pary, które nie miały ślubu i których dzieci nie były ochrzczone. Wówczas odbywały się przygotowania: katechetka udzielała im wyjaśnień po ukraińsku, jednak nazwy Sakramentów podawano po polsku, tak jak wszędzie. Zajęcia trwały parę godzin, potem spowiadałem te pary, następnie udzielałem Komunii św.; odprawialiśmy modlitwy po Komunii i dopiero wtedy udzielałem ślubu. Jedni drugim służyli za świadków, a potem chrzcilem ich dzieci, przy czym jedni drugich brali za kumów.

Kiedy nadeszła jesień, rodzina Szymona Czarnego nie mogła już dalej gnieździć się w przyczepie i żyć jak koczownicy. Trzeba było urządzić im mieszkanie. Uchwaliliśmy, że kupimy im dom za ten, który przerobiono na kaplicę. Kupiliśmy dość ładny dom, o wiele droższy od tego, który przedtem posiadali, na nazwisko syna – Cypriana Czarnego. Był on dobrym stolarzem i nawet chcieli go mianować brygadzystą, ale musiały się zapisać do związku zawodowego. Książeczki związkowe w Związku Radzieckim mają na każdej stronie napis: profsojuz – szkoła komunizmu. Ponieważ nie chciał on wziąć tego dokumentu, więc pracował jako prosty robotnik. Ich nowy dom był o wiele bliżej stacji kolejowej, co było dla nich korzystne, bo żona Cypriana wносиła mleko czy inne produkty do pociągu, i mieli z tego pewne dochody.

W ten sposób kaplica była zabezpieczona jako dom Szymona Czarnego, gdyż Komitet wciąż jeszcze nie był zarejestrowany i nie można było dokonać aktu kupna. Dla siebie zakupiłem domek dwuizbowy po drugiej stronie drogi. Tu przyjechały do mnie z Buczek siostry Bronia i Maria wraz z matką. Z wielkim trudem udało im wyrwać się z kołchozu. Roni napisano w paszporcie, że jest Ukrainką, ale ponieważ zależało jej na wyjeździe, pogodziła się z tym.

Wobec tego, że mieliśmy swój domek, mogliśmy zapraszać gości. Przyjechał do nas ks. Bukowiński, by za poświęcenie jego kaplicy zrewanżować się poświęceniem mojej. Odbyła się więc wielka uroczystość, a ja miałem miłe towarzystwo kolegi i przyjaciela. Później odbywały się w Tańczy również inne uroczystości. W 1957 r. na moje imieniny przyjechali koledzy Bukowiński i Rzepecki – najbliżsi sąsiedzi: jeden z odległości 400 km, a drugi z 600 km. Zjawił się również ks. Michał Keller, który gdzieś w północnym Kazachstanie pracował początkowo jako więzień a później jako wolny w charakterze budowniczego nadzorującego budowy. Kiedy dowiedział się, że tutaj są księża, przyjechał i po dwunastu latach odprawił po raz pierwszy Mszę św. Potem odprawiał już stale, a wkrótce przeszedł na emeryturę. Dostał papiery pochwalne i medal za swoją pracę i osiedlił się najpierw w Nowosybirsku, gdzie pracował wśród Niemców, potem w Kirgizji, wreszcie w Uzbekistanie, gdzie miał swój domek, wraz z siostrami. Pracował on prywatnie czy też pokątnie w grupach, a w końcu Niemcy wystarli się we Frunze, stolicy Kirgizji, oraz w czterech innych miejscach o domy modlitwy, które ks. Michał Keller obsługiwał oficjalnie.

Odbywały się u nas uroczyste nabożeństwa z „Te deum laudamus”, w których brało udział czterech księży. Wywoływało to ogromne wrażenie wśród

ludzi. Nieraz nawet trochę się przechwalałem, mówiąc: „Gdyby nie ja, cóż byście widzieli...”

Odprawialiśmy również uroczystości Bożego Ciała. Kaplica stała na skraju osiedla, a z drugiej strony był już step. Ponieważ była za szczupła, by urządzić w niej ołtarze, ustawiliśmy w moim ogrodzie trzy ołtarzyki i wychodziliśmy do ogrodu i tutaj następowało zakończenie z kazaniem i błogosławieństwem Najświętszego Sakramentu – na wolnej przestrzeni tuż obok bezkresnego, płaskiego stepu, obok pola kartofli kwitnących w moim ogrodzie oraz słoneczników, ozdabiających nasz świat. W ogrodzie odbywały się również chrzty: podawano do chrztu nieraz kilkadziesiąt dzieci. Metryk żadnych nie prowadziliśmy. Kiedy zachodziła potrzeba, podawano się dane o chrzcie osobom, które wyjechały do Polski.

Cmentarz był wspólny dla wszystkich, oprócz mahometan, którzy mieli swój osobno. Jeśli zdarzyło się, że mahometanin był jakimś naczelnikiem, komunistą i pochowano go z czerwonymi flagami i orkiestrą oraz postawiono mu „szafkę”, na której była czerwona gwiazda, to Kazachowie przychodzili w nocy, odkopywali grób i przenosili zwłoki na swój cmentarz. Meczet mieli tylko w Kokczetawie: był to drewniany budynek, taki, jakie u nas bywają, na przykład w Łucku. Znajdował się w centrum miasta, lecz później kazano go opuścić; pozostał jako zabytek, a Kazachowie zbudowali sobie drugi za miastem.

Na cmentarzu zatem odprawialiśmy bardzo piękną uroczystość – „przewody”. Wychodziliśmy na cmentarz i śpiewając przechodziliśmy od jednego do drugiego grobu, modląc się przy każdym, co trwało nieraz i cztery godziny. Na cmentarzu pochowani byli również Niemcy. Nabożeństwa odprawiane były po łacinie, za dusze wszystkich zmarłych.

Nabożeństwa w kościele w zasadzie odprawiano po łacinie, ja jednak odprawiałem je częściowo po polsku, mianowicie: „O przenajświętsza Hostio”, „Przed tak wielkim Sakramentem”, „Dałeś im chleb z nieba” oraz oracje i modlitwy przed Komunią i po Komunii św.

Można było mieć tylko jedno wspólne nabożeństwo dla Polaków i Niemców, których przychodziło kilkadziesiąt, w tym cała młodzież i dzieci. Niemcy - katolicy trzymają się dobrze, zachowują swój język i wiarę. W kaplicy było jednak za ciasno i nie wszyscy się mieścili. Chodziło mi też o to, żeby Niemcy mogli śpiewać swoje pieśni i żeby powiedzieć do nich kilka słów po niemiecku. Odprawiałem więc sumę dla Polaków, a o godzinie 18 Mszę św. dla Niemców.

Wierni nanosili ziemi na grubość dwóch palców. Niemcy sprząтали kaplicę po sumie, a po nich z kolei sprzątały nasze parafianki. Przez pewien czas była wynajęta do sprzątania kobieta, ale porzuciła tę pracę. Mieliśmy też przy kościele stróża, niejakiego Jasińskiego, który nocował w kościele i pilnował. Służył też do Mszy św.

Z Tańczy wyjeżdżałem również do Niemców, którzy zamieszkiwali w odległych o 15-20 km osiedlach. Nie byli to przesiedleńcy, ale tacy, którzy tam przyjechali dobrowolnie jeszcze 1904 roku. Ciekawe, że wielu z nich miało polskie nazwiska. Niemcy wszędzie dobrze gospodarują i wszędzie mają się dobrze – tam również. Mieli oni w każdej wsi kościoły, które zamieniono na magazyny. Tak jak zawsze, ktoś musiał starać się o to, by mnie przywieźć oraz za-

wiadomić ludzi, by się zebrali w odpowiednim czasie. Robiło się wszystko jak należało, dopiero w późniejszych latach zakazano chrztów w mieszkaniach.

Trudno było ustalić, które osiedla wchodziły do mojej parafii. Ks. Rzepecki pracował w odległej o 80 km wsi Zielony Gaj; ja sam bywałem czasami w Kellerówce, gdzie zamieszkiwało kilku katolików. W Kopiejsku koło Swierdłowska było natomiast więcej Ukraińców: byli tam też księża ukraińscy. Przyjeżdżał do nas czasem ks. Rewt, z którym przebywałem później w obozie w Mordowii. Kiedyś uniknął on aresztowania w ten sposób, że gdy dowiedział się, że milicja idzie, wyszedł i minął ich bez zatrzymania, bowiem nie znali go. W samym mieście Akmolińsku był ks. Prokopiew – grekokatolik. Pochodził on z diecezji przemyskiej, z tej części, która pozostawała po tamtej stronie granicy. Zesłano go do Tańczy. Wiedziałem o nim od jego kolegi, którego spotkałem w Workujcie. Prokopiew został skazany na 25 lat pozbawienia wolności. Pracował gdzieś aż w irkuckiej obłasti, w pobliżu Tracka. Osadzono go w końcu lat czterdziestych, a w 1955 roku został zwolniony i pojechał do Kazachstanu. W Akmolińsku pracował wśród Niemców, Ukraińców i Polaków. Oburzałem się na to, że odprawiał nabożeństwa tylko po słowiańsku i chciał, żeby wszyscy śpiewali „Hospody pomiluj”. Pisał, że Niemcy jako tako śpiewają, natomiast Polacy śpiewać nie chcą, co było dla mnie zrozumiałe. Pracował zbyt gorliwie.

U mnie byli Polacy i Niemcy, a grekokatolików tylko kilku. Gdy przychodzili do spowiedzi, dawałem im książeczkę napisaną w języku ukraińskim i kazałem przeczytać.

Później ks. Prokopiew jeździł też do innych miejscowości, zwłaszcza tam, gdzie osiedlono Niemców. Był on jakiś niezaradny i zawsze chodził zaniedbany. Gdy przejeżdżał przez Tańczę, staraliśmy się go trochę odżywić i oprąć, by trochę odpoczął. Nie pozostawał jednak długo, twierdząc, że za dobre jedzenie. I jemu czyniono wiele przeszkód w pracy, jakoś jednak trzymał się. Dopiero później kiedy nas aresztowano wyjechał do Wilna. Tam też był więziony, ale zwolniono go, zdaje się, po roku. W obozie wezwano mnie na przesłuchanie, podczas którego zapytano mnie, dlaczego Prokopiew uciekł z Kazachstanu. Zacząłem wówczas śmiać się bardzo głośno, na co przesłuchujący oburzył się: „Co w tym śmiesznego? Zwariowaliście czy co?” Odpowiedziałem: „Dobrze, że to nie ja wyjechałem, bo byliby kogoś pytali, dlaczego Kuczyński uciekł z Kazachstanu”. Zaprotestowałem przeciw takim pytaniom, mówiąc tylko, że Prokopiew wyjechał z Kazachstanu dlatego, że gdy uwięziono już 5 księży z Kazachstanu, uznał widocznie, że nie ma na co czekać. Po zwolnieniu z więzienia w Wilnie Prokopiew był początkowo stróżem na cmentarzu, jednak zwolniono go stamtąd i skierowano do ciężkiej pracy w sowchozie. W późniejszych latach uzyskał zaświadczenie o inwalidztwie i zamieszkał w jakimś mieszkaniu całkowicie obstawionym regałami z książkami. Miał tam też swój ołtarzyk, przy którym odprawiał Mszę św., zawsze po łacinie. W niedzielę wyjeżdżał na Białoruś do polskich księży, którym pomagał w spowiedzi i odprawianiu nabożeństw. Ukrócił trochę swój ascetyzm i sypiał wprawdzie dalej na deskach, ale już nieco dłużej niż dawniej, jadł też lepiej, zwłaszcza gdy miał w domu gości. Obsługiwany przez jakąś staruszkę, chyba z Felsztyna, ciągle coś czytał i pisał: posiadał duże wiadomości o stanie kościoła w Związku Radzieckim.

Chciałbym wspomnieć też o ks. Piotrze Radwańskim. Przebywał on w Miłopolu koło Połonnego. Gdy jego kościół został zamknięty, zapytał mnie czy nie przydałby się w Kazachstanie. Odpisałem, by przyjechał do nas. Bukowiński i Rzepecki byli tym trochę zaniepokojeni, mówili, że to człowiek starszy i przy tym chory. Miał on dziwaczny pseudonim – Pieresyupkin. Dopiero po jego śmierci dowiedziałem się jakie było jego prawdziwe nazwisko. Prawdopodobnie uczył się przed wojną w Lublinie w seminarium dla misjonarzy wschodniego obrządku i widocznie przybrał sobie taki pseudonim. Od niego dowiedziałem się tylko tyle, że matka jego z domu nazywała się Ziółkowska. Kiedy przyjechał do mnie i jedliśmy obiad w kuchni, gdzieś obok siedziały kobiety i rozmawiały ze sobą, zapytując się: „Ciekawe, jakie jest jego nazwisko?” Na to odpowiedział: „KGB nie dowiedziało się a one chcą wiedzieć!”

Chory był podobno dlatego, że bili go poprzednio i nastąpiło pęknięcie przepony, tak, że żołądek wchodził do klatki piersiowej. Mógł jeść tylko siekane mięso lub coś podobnego.

Przybył on do nas naprawdę w porę. Moja matka była wówczas już bardzo chora, a jest taki zwyczaj, że ksiądz własnej matki nie spowiada – więc wyspowiadał moją matkę. Nie mogła ona ani leżeć, ani siedzieć, serce jej stawało i w końcu po krótkich, ale ciężkich cierpieniach umarła. Tak się złożyło, że w tym czasie trzeba było jechać do chorych, więc pojechał ks. Piotr, a ja sam pochowałem mamusię. Zrobiliśmy piękną trumnę obitą czarnym aksamitem, nabożeństwa odprawiono po polsku, a Niemcy śpiewali po niemiecku. Przesłali mi aż dwie ciężarówki: na jednej ustawiono trumnę, a na drugiej usiadło dużo dzieci z sąsiedztwa: matka moja była bardzo uczynna, gościnna i często coś podsuwała dzieciom, tak że chętnie do nas przychodzili. Przebyliśmy trzykilometrową trasę przez step i ustalili się porządek pogrzebu. Był to jeden z pierwszych pogrzebów zorganizowanych z całą procesją, tak że później wspominali go wszyscy mieszkańcy. Na cmentarzu przemawiałem po polsku, po niemiecku i po rosyjsku.

Ks. Pieresyupkin przeniósł się potem do Pietropawłowska, gdzie wynajął mieszkanie. Po moim aresztowaniu ludzie właśnie do niego jeździli do spowiedzi. Po raz ostatni widziałem go, kiedy odsyłali mnie z Pietropawłowska na step. Stał wraz z innymi z daleka i patrzył.

Później udał się do Lwowa, gdzie chciał poddać się operacji. Podjęto się jej jednak dopiero w szpitalu w Moskwie. W przeddzień operacji przysłał mi pocztówkę – reprodukcję Delacroix – przedstawiającą Arabów polujących na lwy. Ks. Piotr nie wytrzymał operacji, zmarł nie odzyskawszy przytomności. Został pochowany w Moskwie. Tam dopiero okazało się, że nazywał się Piotr Radwański.

Moje późniejsze sprawy wyglądały kiepsko. Otóż w kokczetawskiej „Prawdzie” zamieszczono artykuł na trzecią część strony pod tytułem: „Czy można mu wierzyć”, w którym bardzo barwnie opisywano jak uciekłem przez granicę do Polski, co tam robiłem, że później Związek Radziecki do mnie przyszedł, a ja na to spotkanie nie przyniosłem żalu, tylko kamień za pazuchą. Dalej opisywano jak i za co zostałem pierwszy raz uwięziony, potem omawiano moją działalność w Kazachstanie. Zostałem nazwany spekulantem i darmozjadem, oskarżony, że posadziłem ludziom na głowę matkę i dwie siostry, że wzbogaciłem się i kupiłem dwa domy, a to dzięki temu, że spekulowałem dewocjonaliami – że na przykład za książeczkę wartą półtora rubla brałem 60 rubli.

W rzeczy samej dostawaliśmy dewocjonalia ze Lwowa, z Wilna, a nawet z Polski, przywoziła je też pani S. i wierni chętnie je kupowali, dając każdą cenę.

Poza tym napisano, że handluję widokówkami piekła, rajy i świętych, do których widocznie zaliczam siebie samego, skoro za swój portret biorę 10 rubli; że w ogóle załatwiam tutaj brudne sprawy watykańskie jako agent, a co to jest Watykan, wiadomo, skoro niedawno odbył się w Stanach Zjednoczonych zjazd policjantów, na którym mianowano papieża Piusa XII honorowym policjantem<sup>3</sup>; i wiele innych, podobnych rzeczy.

Kiedy ukazał się ten artykuł, przybiegli do mnie przede wszystkim Niemcy; pytali, co oznaczają te wszystkie epitety, te straszne, niezrozumiałe słowa, jak tuniejadziec, co to znaczy „feudalny”, „agent” – po prostu ogarnęło ich przerażenie tak wielkie, że trudno było wytrzymać. Zauważyłem jednak, że gdy ja sam jakoś zbierałem siły i odwagę i zaczynałem zachowywać się spokojnie, to i oni nabierali ducha. Po zakazie praktykowania, który został wkrótce wydany, zaczęliśmy znowu jeździć do władz. Dzięki temu na pewien okres czasu znów udzielono zezwolenia na odprawianie nabożeństw. Zresztą, uzyskanie takiego zezwolenia zależało od postawy parafian. Jeśli domagali się czegoś stanowczo, to uzyskiwali, jeśli dali się zastraszyć, to wszystko było na nic.

Wyjechałem później w podróż duszpasterską do dwóch odległych osiedli niemieckich. Po powrocie dowiedziałem się, że zostałem podany do sądu. Wobec tego niezwłocznie udałem się do sądu, by wyjaśnić, o co chodzi. Oświadczono mi, że nie zapłaciłem 16 tysięcy podatku i że jeśli kwotę tę uiszczę, to sprawa zostanie skasowana. Poczyłem starania o zebranie pieniędzy, które następnie wpłaciłem.

Umyślnie chodziłem po mieście, aby widziano, że nie uciekłem. Ten artykuł prasowy jak i całe śledztwo w mojej sprawie miały na celu usunięcie mnie z miasta. Dano mi do zrozumienia, że jeśli wyjadę, nie będę miał żadnych kłopotów. Na temat moich objazdów po wsiach zamieszczono następny artykuł w gazecie rejonowej. Tym razem pisano, że napadam na wioski. Wzięło się to z następującego zdarzenia.

W jednej wsi wybudowano nowy dom i trzeba było go poświęcić. Córka gospodarzy była nauczycielką. Napisali więc, że skradałem się po zaułkach (gdzie tam, we wsi stepowej zaułki?) i wszedłem do tego domu, ale kiedy chciałem dostać się do pokoju nauczycielki, dostałem odprawę. Widocznie nie chcieli kompromitować tej nauczycielki. Szybko więc – pisali – ochrzciłem dzieci, udzieliłem ślubów i czym prędzej uciekłem.<sup>3</sup>

\*

### **Tadeusz Szpaczyński – *List ze stepu***

List Tadeusza Szpaczyńskiego, który drukujemy poniżej, nadesłała do Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu jego siostra Janina Korszon z Krakowa, w związku z ogłoszonym w roku 1988 konkursem na wspomnienia z pobytu Polaków na Syberii, w Kazachstanie, na Dalekim Wschodzie i w innych rejonach ZSRR. List pisany był do siostry ich matki. Autor listu wywieziony został z Lwowa w dniu 13.04.1940 r. do miejscowości Jegen-Suлак, Semipałatyńskiej oblasti w Kazachstanie. Był magistrzem

<sup>3</sup> Podstawa relacji: J. Kuczyński, *Między parafią a lagrem*, Paryż 1985, s.68-78

polonistyki, którą ukończył na Uniwersytecie Jagiellońskim, absolwentem Szkoły Nauk Dyplomatycznych i studentem III roku prawa UJ. Wywieziony został z matką i siostrą. W chwili śmierci z głodu miał 29 lat...!(red.)

\*

### Kochana Ciociu

Ponieważ brak listu i jakichkolwiek dopisków spotkał się z nieco dowolnymi komentarzami, więc teraz, kiedy po ostatniej wiadomości od Was z dn. 10.08 wiem, że mój pierwszy list do T. Jacka nie poszedł na marne, więc biorę drugi, a zarazem ostatni papier listowy będący w moim posiadaniu, by uzupełnić nieco zasób wiadomości przesyłanych przez Mamę, która na pewno pisałaby jeszcze częściej gdyby miała na czym. Poza tym proszę o tyle nie mieć do mnie żalu, że ja nigdy zdaje się w moim życiu nie byłem zbyt skłonny do korespondencji, choć niejednokrotnie z tego tytułu mogłem być posądzany o niewdzięczność.

Tak tedy przed tygodniem minęły już dwa miesiące mego pastuszkowania. Jak dotychczas nie zaszкодziło to w większym stopniu ani mnie ani krowom. Powtarzane nam aż do znudzenia przez kozaków słowo „przywykniesz” ma w sobie niestety dużo racji „życiowej”, choć bynajmniej nie umniejsza się przez to tragizm naszego położenia. Inna rzecz – nie wyglądam podobno na pastucha z powołania. Nie wyganim krów jeżdżąc na byku i dziko pokrzykując, ale jak filozof zadumany nad złośliwymi igraszkami losu. Znajdujący się w kieszeni płaszcza podręcznik rosyjskiego lub powieść Bruna Jasińskiego „*Człowiek mieniajet kożu*” przypomina, że jestem z zawodu „uczcieli”. Ale postronny widz nie widzi książki ukrytej w kieszeni płaszcza, i sądząc z pozorów, myśli, że to idzie utrudzony wędrowiec, którego kij pastuszy przypomina chwilami kostur żebraczy. Bo gdy zmęczone od słońca i jednostajności stepu oczy, co chwilę spoglądają ku ziemi, to nie dlatego by dostrzec żmiję. Na stepie można czasem zobaczyć zagubioną przez kogoś gumkę od bucika, gumową podeszwę porzuconą przez Kazacha, lub pudełko, w którym jest jeszcze trochę zapalek. Wówczas należy się schylić i podnieść co się znalazło, bo jedno i drugie może się przydać. I oto jest symbol drogi, którą się przebyło w ciągu jednego roku, drogi, która prowadzi do coraz dalszego upokorzenia, by jednak w końcu doprowadzić do Wiktorii. Poprzez dziury w wytartych do szarości bucików wdziera się pasterzowi do środka kurz stepowy, gdy pada deszcz - na szczęście rzadki – chłupie w nich woda, zgięte nogawki pozwalają się domyśleć, że są już poszarpane od ostrej trawy stepowej, która również kłuje nogi nie odziane z oszczędności skarpetkami. Gdy pasterz idzie bez płaszcza widać dziury na kolanach od spodni i postrzępione rękawy zabrudzonego surduta. A płaszc. Ten się niszczy od przynoszonych nim systematycznie ze stepu łajniaków. A jeśli kogoś obdarzył Bóg wzrostem wyższym od pastucha, ten jeszcze zobaczy dziury na eleganckim kiedyś kaszkiecie. I tylko dobrze, że nie potargało się coś, co każe bezwonnemu manekinowi dzień w dzień iść i przemierzać w samotności posępną jednostajność nie kończącego się stepu. Kazachy na ogół odnoszą się życzliwie do pastucha, bo wiedzą, że pasie krowy będące ich własnością, i że stara się je paść dobrze. Co pół miesiąca dają mu dwa ruble od każdej krowy (szkoda, że tych krów jest obecnie tylko 12) i w ciągu miesiąca 1 litr mleka od każdej kro-



wy. Tak więc miesięczny zarobek w pieniądzu i mleku około 70 rubli. Ponieważ obecnie dzień krótszy wstaję nie o 5 jak początkowo, ale około 6. „Chaziajki” doją do 6,30 i wtedy dopiero mogę wyganiać. Codziennie po kolei biorę od każdej do flaszki dobre ½ ml mleka, wieczorem poprzedniego dnia Mama daje mi chleb, mniej lub więcej, zależy od okoliczności, i z tego mam na stepie śniadanie, śniadanie naprawdę przyjemne, gdy zapędzę już krowy na pastwisko przeszedłszy nieraz do 3 km i siądę tak jak dziś, w cieniu pod stogiem siana. Na godzinę dwunastą przypędzam krowy do fermy, gdzie o tej porze jest już gotów obiad, ugotowany bodajże najpункtualniej ze wszystkich naszych ludzi. Od 1 do 3 odpoczywam, gdyż gorąco bardzo osłabia. Około 3 znów wypędzam krowy, przy czym muszę wybrać takie pastwisko, które leży jak najdalej od wszelkich stogów i „urodzajów” (owies, jęczmień), by krowy nie wyrządziły szkody. Po zapędzeniu ich bowiem na miejsce, zostawiam je same i około 6 wracam na fermę na kolację przeważnie zimną. Po kolacji muszę jednak dobrze obserwować, w którym kierunku krowy idą i w razie potrzeby iść po nie trzeci raz. Przeciętnie robię 10 km dziennie, czasem do 20. O 8-mej zaczyna się już robić ciemno. Z przykrością przyjęliśmy tu wszyscy wiadomość, że wstrzymano czasowo wysyłanie paczek. Są tacy, co dostali już po kilka paczek (5-8). My dotychczas żadnej, gdyż Mama popełniła niewinne kłamstewko, by prędzej doczekać się drugiej. Paczki dochodzą tylko niekiedy, idą bardzo długo, do 2 miesięcy. Bardzo by się nam teraz przydała, w sierpniu, w okresie przednówka, gdy kończą się zapasy mąki, a nowej jeszcze nie ma. U nas jarzyn nie ma zupełnie, ale są w odległej o 18 km centrali (Petropawłówka), gdzie nasi ludzie chodzą od czasu do czasu. Wisia również, ja nie, związany krowami. Tak więc jemy teraz dość często barszcz na burakach, na kolację do kwaśnego mleka chleb i ogórki. Wisia raz dostała pomidora, który był jak przysmak, można dostać poza tym koper, cebulę, młode kartofle (to już trudniej) i marchewkę, a także kapustę. Trzeba jednak mieć co mieniać, za pieniądze można właściwie dostać tylko chleb i mleko. Szczęśliwi są ci, którzy posiadają tytoń i herbatę, gdyż za te rzeczy najlepiej można mieniać. Chleb na ogół przywożą stale i dają dla pracujących od 50 dkg. do 1 kg. Ja w zasadzie jako pastuch dostaję kilo, ale czasem, gdy chleba mało, dają mniej. Fatalnie daje się odczuwać brak mydła, którego nie sprzedają tu od dłuższego czasu. Nawet ci, co go mają gonią ostatekami. Nie ma czym myć się i prać. A jest co prać. Bielizna coraz bardziej zapchlona, W ogóle insekty są tu plagą. W nocy gryzą nas pchły, a wielu także wszy, wieczorem komary, w ciągu całego dnia muchy, których jest tu masa, są także pluskwy. Rzeka wyschła i przemieniła się w szereg mniej lub więcej cuchnących kałuż z brudną wodą, zanieczyszczoną przez bydło. Kto chce się myć lub kąpać musi iść dalej. Względnie dobra jest woda w studni służącej do picia i gotowania.

Wszyscy martwimy się jak przetrwamy zimę, która jest coraz bliżej. Na razie nie wiadomo, jak w tym roku będzie z mąką z obecnych zbiorów. Bardzo źle jest z jajami. Kury się nie niosą, albo bardzo mało, na zimę zapowiadają 40 stopni mrozu i więcej, brak nam opału, to, co się uzbiera, starczy na potrzeby dnia, na razie dużo Kazachów koczuje poza fermą, wskutek czego mieścimy się jako tako po nędznych chałupach, ale nie wiadomo co będzie, gdy Kazachy wrócą z koczowania z końcem września, jakkolwiek wybudowano w międzyczasie 3 nowe chałupy. Nie wiadomo, jaki będzie rodzaj naszej pracy w zimie.

W razie dużych śniegów nie ma dowozu, w styczniu i lutym mają być zawieje, a śnieg ma być już w październiku. Wątpliwy jest dowóz chleba w zimie. Coraz mniej rzeczy do wymiany, a kozacy jeszcze na razie lubią nas dla naszych rzeczy. Nie od rzeczy będzie napisać o samych kozakach. Z listów z Lwowa wynika, że panuje tam przekonanie, iż na ogół są to dobrzy ludzie. Przede wszystkim dobroć jako wykwit pewnego rodzaju kultury humanistycznej – to rzecz dla nich zupełnie obca. Dobroć to u nich kwestia instynktu. To ludzie dzicy, prymitywni. Przeważnie chytry i interesowni. Oczyma dzikiego, chciwego, zdumionego dziecka patrzą na nasze kołdry, prześcieradła, poduszki, ubrania, buciki, zegarki, chustki kolorowe na głowę, poszewki, lusterka, pularesy, torebki itd. Chcieliby mieć to wszystko. Mieniają za produkty, a czasem za pieniądze. Do tych, co mają więcej rzeczy odnoszą się lepiej, póki mogą coś zyskać. Humory u nich zmienne. Ten sam Kozak, który jednego dnia robił mi straszną awanturę przy kupnie chleba, za to, że nie wygoniłem jego krowy i ta do południa została w fermie, na drugi dzień kazał mi pierwszemu dać w sklepie chleb spośród naszych ludzi. Umieją być gwałtowni. Potrafią pchnąć i uderzyć. Należy ich odpowiednio z góry traktować, i też z krzykiem na nich. Są na ogół gościnni. Gdy przyjdzie się do nich w czasie, gdy jedzą, zazwyczaj czymś poczęstują. Ale nie zawsze. Niektóre chazajki poczęstują mnie czasem kawałkiem chleba, dając mi mleko. Ale dwie potrafiły mi rano odmówić mleka i dać dopiero na drugi lub trzeci dzień. Zachowują się często tak gruboskórnie, że trudno wprost wytrzymać. Pozwalają sobie na głupie i niesmaczne żarty, zwłaszcza wobec pań. Zaledwie kilku z nich to ludzie bardziej okrziesani. Niemożliwi są, gdy się upiją kumyssem – końskim mlekiem. U nich to przysmak. Przepadają za czajem. Za czaj można u nich dostać wszystko, czego się nie da kupić za pieniądze. Tylko, że nawet nasi ludzie mają go coraz mniej. Nachodzą nas bez przerwy po naszych kwaterach. Stoją wtedy jak słup, nic nie mówią, gapią się i dopiero po dłuższej chwili odchodzą, zostawiając trochę wszy i pcheł. Mleko szachrają, tak jak i nasze baby. Ja dostaję na ogół dobre mleko surowe, bo rano nie ma czasu gotować, przeważnie prosto od krowy. Więcej niż pół litra, bo ma dużą flaszkę.

Było nas wszystkich początkowo 63 osoby wraz z dziećmi. Umarła pani Bogdanowiczowa, staruszka 80-kiłkuletnia i pan Klemberg, Żyd z Krakowa, lat ponad 70. Jedna z pań zgodziła się na gospodynię do rejonowego dygnitarza w Kopekli (70 km od nas). Pracujący u nas w kuźni p. Krechowiecki przeniósł się z żoną i córką do Biegacza (18 km), dwie osoby opuściły nas po angielsku. Zostało 55 osób, z tego obecnie pracuje przy największym natężeniu 245 osób, 12 osób nie pracuje z powodu podeszłego wieku lub słabego zdrowia. Parę osób musi pilnować dzieci i gospodarstwa. Dzieci do lat 18-tu (najmłodsze 1 ½ roku) jest 22, kilkoro z nich pracuje. Obecnie około 9 osób pracuje przy sianokosach, mieszkając w jurtach do 10 km od fermy, przenosząc się z miejsca na miejsce wraz z Kozakami, około 6 osób, między innymi Wisia, 4 km od fermy przy czyszczeniu... bydła; wychodzą około 8-mej rano, wracają na 5-tą po południu. Praca ich zbliża się ku końcowi, 4 osoby niedaleko wsi przy owsie, ja z krowami i chłopak pasie wielbłądy, dwie osoby w Biegaczu. Zresztą w tym zakresie ciągle zmiany. Za miesiąc maj nasi ludzie otrzymali onegdaj wypłatę wynoszącą przeciętnie 20-35 rubli. Za pracę przy sianokosach mają płacić znacznie więcej, ale dopiero z czasem. Pan Krechowiecki, kowal, zarobił za maj około 120 rubli.

Lato mieliśmy upalne, zar czasem był niemożliwy, pastuch wychodził czasem z parasolem, by uchronić się od słońca. Czasami spadnie drobny deszcz, przeważnie – na szczęście – większy pada w nocy. Obecnie jest już trochę chłodniej. 2 razy rano nim doszedłem do pastwiska ręce zgrabiały mi z zimna, gdyż trafiają się i zimne ranki. Ziemia po deszczu prędko wysycha. Dość często są b. silne wiatru. Burz było kilka, ale bezpośrednio nad nami tylko jedna. Od pioruna pałą się często stepy. Były i większe pożary trwające 3 dni, ale dalej od nas. Na zdrowiu na ogół się trzymamy. Chorują dość często dzieci. Poza tym starsi na żołądek. Ja w ciągu 2 miesięcy pastuchowania nie pasłem przez 7 dni, chorując okresowo na 4 zawody z gorączką do 39,4 stop., ale to jakoś szybko przechodzi jak szybko przyszło. Mnie dokuczają zęby, zresztą wielu osobom także. Poza tym jesteśmy straszliwie zmęczeni. Ci, którzy wciąż chodzą są poza tym wciąż głodni, choć co się nas tyczy, Mama dba o nas. Dobrze jest zwłaszcza, gdy jest dużo chleba, a tymczasem są dni, gdy go nie ma. U Kozaków trudno coś obecnie kupić na dożywienie, bo sami nie mają wiele dla siebie w okresie przednowku. Dlatego tak bardzo tęsknimy za paczkami. Strona kulturalna naszego życia przedstawia się poniżej wszelkiego minimum. Nawet gazety widzi się obecnie najwyżej 3 razy w miesiącu. Naszą lekturą i niemal wszystkim są listy, których oczekujemy z utęsknieniem. Ja stworzyłem sobie zajęcie wyuczywszy się języka rosyjskiego. Przerobiłem I część Kułakowskiego i żałuję, że nie mam drugiej. Obecnie mogłem już swobodnie przeczytać powieść Jasińskiego, b. polskiego komunisty i dobrego literata, który jak zdaje mi się, wszyscy zdrowi komuniści skończył na wygnaniu. Oczywiście nie w Polsce, gdyż dawno uciekł do Sowiec. Gorzej jest z konwersacją, gdyż nie ma tu z kim mówić. Rosjan nie ma, a kozacy mówią fatalnie po rosyjsku. Zamiast byśmy się od nich uczyli, oni od nas uczą się ukrainizmów. Doprawdy ciężkie, straszliwie ciężkie jest tu nasze życie. Drobne wzruszenie potrafi nieraz niektóre osoby, zwłaszcza starsze panie, przyprowadzić o wybuch spazmatycznego płaczu. I mnie nieraz, gdy idę samotnie w step, gdy przypomnę sobie jakiś drobny szczegół z przeszłości, jakiś drobiazg, którego w Krakowie nie umiało się wówczas docenić, łzy, których nikt nie widzi, podchodzą do oczu. Ale nie są to łzy słabości, lecz łzy rozrzewnienia nad tym, co się straciło i na co znów trzeba długo i w udręce czekać. Toteż i we Lwowie nie płaczcie nad naszymi listami płaczem rozpacz. Nad losem przedstawicieli narodu, który istnieje lat tysiąc i istnieć będzie do skończenia świata i staje się celem, dla którego żyć warto, jeśli chce się doczekać wolności. Odżyła wielka poezja romantyczna. Anhelli znad tajg Sybiru przeniósł się na stepy Kazachstanu. W tym roku zapewne nie ujrzycie go w Polsce, ale gdy wróci na przyszły rok, łachmanów swoich wstydzicie się nie będzie. Ale nie wszyscy idą ku temu cierpieniu jak Chrystus na Gólgotę. Chcieliby się z niego zrzucić. „Mówię bom smutny i sam pełen win”. Kto zrozumie sens tego cierpienia, przestanie być tylko człowiekiem nieszczęśliwym, zasługującym na współczucie, a będzie w swoim zakresie człowiekiem wielkim. Przez cały świat przewala się walka między złym a dobrym, między Ormuzdem a Arymanem. I cóż dziwnego, że każdy z nas wierzy, że zwycięży Ormuzd, że ci co rozpętali łańcuch zbrodni i łajdactw sami legną pod ich ciężarem. Nie bójmy się powtarzać tej prawdy, która ratuje nas od samobójczych myśli. Nawet najgłupszy przedstawiciel NKWD nie wątpi chyba w to, że każdy Polak w Kazachstanie wierzy, że wróci do Polski, o ile tylko przetrwa tę zimę.

U nas bardzo trudno o papier listowy i jeśli można prosimy zawsze o jego przysłanie. Krowy nie pozwoliły mi skończyć listu, gdyż musiałem za nimi gonić i kończę go rano 25.8, pod tym samym stogiem, gdzie go wczoraj zacząłem pisać. A szkoda, bo dziś właśnie dwie panie poszły do Petropawłówki, gdzie jest poczta. Pójdzie przy najbliższej okazji długo odwlekany list. Na tym kończę to przydługie i zdaje się nieczytelne pisanie całując Kochaną Ciocię wraz z Wujciem, dziećmi i wnuczką, dla p. Inki i Haneczki załączam serdeczny uścisk dłoni i dla p. Romka.

*Tadzik*

PS. 30.8.40. Dotychczas nie mogłem wysłać listu, gdyż nikt z naszych nie wychodził ostatnio do Centrali, gdzie jest poczta. Dziś list zakleję i pewnie niedługo już będzie czekał. Paczki dotychczas nie ma. Od kilku dni jesteśmy, Mama, Wisia i ja na nowej kwaterze, gdyż wobec zbliżającego się nowego roku szkolnego trzeba się było wyprowadzić ze szkoły. Mieszkamy obecnie w jednej izbie tylko we troje. Zdaje się jednak, że i to tylko czasowo, gdyż jak kozacy wrócą z sianokosów i koczowania nastąpią... dalsze zmiany. W nowej kwaterze mamy kuchnię i obecnie Mama nie musi gotować na dworze w razie deszczu. Właśnie pogoda się psuje, coraz częściej deszcze i zimno, kiedyś rano był szron. Pieniądze nadeszły około 10 sierpnia. Przednówek coraz cięższy – często jesteśmy głodni. Chleba dają mało. Czasami brak mi już sił do pasienia krów, zajęcie to już całkowicie mi obrzydło. Krążą tu różne plotki na temat misji amerykańskiej w sprawie uchodźców i przesiedleńców, ale na razie nie widać, by dla nas miało coś z tego wyniknąć. Świat jest duży. Łatwo wymieniane są USA, Kanada, Indie czy Filipiny.

*Tadzik.*

Godz. 18. Przed chwilą przyjechał Kozak z Centrali z wykazem osób, które dostały paczki. Figuruje tam nasze nazwisko. Jutro Wisia pójdzie lub pojedzie do Centrali po odbiór.

